

ŚW. GRZEGORZ WIELKI

DWIE HOMILIE WIELKANOCNE*)

SŁYSZELIŚCIE, bracia najdrożsi, że święte niewiasty, które towarzyszyły Panu, przybyły do grobu z wonnościami, aby nawet po śmierci otoczyć pobożnym staraniem tego, którego miłowały za życia. Ten czyn nam wskazuje, że trzeba czymś stać się w świętym Kościele. Powinniśmy słuchać historii świętej pytając się, co z niej naśladować. Także my, którzy wierzymy w Zmarłego, możemy przyjść do jego grobu z wonnościami, jeśli, napelnieni zapachem cnót, poszukamy Pana wiarą dobrych uczynków. Niewiasty, które przybyły do grobu, ujrzały aniołów. Dzieje się tak zaprawdę, że serca, które ku Panu śpieszą w woni cnót z gorącymi pożądaniami, widzą mieszkańców niebios.

A teraz należy nam się zastanowić nad tym, co to oznacza, że niewiasty dostrzegają anioła, siedzącego po stronie prawej. Cóż oznacza strona lewa, jeśli nie życie obecne, a coż strona prawa, jeśli nie życie wieczne? Dlatego mówi się w Pieśni nad pieśniami: Lewą ręką jego pod głową moją, a prawica jego obejmie mnie. (Pieśń. 2,6). Oto ponieważ nasz Odkupiciel zatriumfował już nad znikomością życia obecnego, wypadło, aby anioł, który zjawił się z wieścią o jego życiu wiecznym, zasiadł na prawicy. Pojawił się w białej szacie, gdyż zwiastował radość naszego święta. Olsniewająca białosc oznacza w istocie blask i świętność naszej uroczystości. — Czy winniśmy mówić: nasza czy też jego uroczystość? Chcąc być ściśle dokładni, powinniśmy mówić zarówno jego jak i nasze święto. Zmartwychwstanie naszego Odkupiciela jest naszym świętem, ponieważ powołał nas do nieśmiertelności, ale jest to także święto aniołów, gdyż przez powołanie ludzi do nieba, liczba aniołów została dopełniona. Tak więc anioł pojawił się w białych szatach w dzień swego i naszego święta, albowiem przez zmartwychwstanie Pana naszego zostaliśmy powołani do nieba i ponieważ przez to zmartwychwstanie straty ojczyzny niebieskiej zostały naprawione.

*

Ponieważ dzisiejsze święto zabiera wam wiele czasu, chcę do was przemówić krótko. Może tych kilka słów będzie bardzo pożytecznych. Często się bowiem zdarza, że z większym apetytem spożywa się pożywienie, które jest w ograniczonej ilości.

Sens dzisiejszej Ewangelii postanowiłem wyjaśnić ogólnie, a nie szczegółowo, z obawy, że pełen wykład zbyt by was znużył. — Słyszeliście, drodzy bracia, że Pan ukazał się dwu uczniom, którzy byli w drodze. Uczniowie ci nie wierzyli w niego, ale jednak rozmawiali o nim.

Nie objawił się im w postaci, która pozwoliłaby im go rozpoznać. Pan więc przed ich oczyma cielesnymi uczynił zewnętrznie to, co działa się wewnętrznie przed oczyma ich serca. W istocie, miłowali oni i wątpili wewnętrznie. Podobnie i Pan był dla nich zewnętrznie obecny, ale kim jest, nie okazał. Ponieważ o nim rozmawiali, udarował ich swoją obecnością, ale ponieważ w niego wątpili, ukrył przed nimi formę, która by go pozwoliła rozpoznać.

Rozmawiał z nimi, zganiał zatwardziałość ich serca, otworzył im tajemnice Pisma św., które odnosiły się do niego. Jednak ponieważ był obcy ich sercu, okazywał, jakoby miał iść dalej. Albowiem zewnętrznie ukazał się Jezus swym uczniom takim, jakim był w ich sercu. Trzeba było, aby zostali wypróbowani i wykazali, czy, nie miłując go jeszcze jako Boga, byli zdolni pokochać go przynajmniej jako obcego. Lecz ponieważ ci, którzy idą w towarzyst-

wie Prawdy, nie mogą być dalecy od miłości, zaprosili go jako gościa. — Dlaczego jednak mówimy: „Zaprosili go”, skoro napisano: „Przymusiłi go”? — Ten przykład poucza nas, że trzeba nie tylko zapraszać obcych w gościnę, ale prawdziwie ich przymuszać. Zastawiają stół, przynoszą pożywienie, a Boga, którego nie rozpoznali, gdy wyjaśniał Pismo, poznali po łamaniu chleba.

Zostali więc oświeceni nie przez słuchanie przykazań bożych, ale przez działanie. Czyż Pismo nie mówi: „Nie ci, którzy słuchają Zakonu, sprawiedliwi są przed Bogiem, ale ci którzy Zakon pełnią, będą usprawiedliwieni” (Rzym. 2,13). Niechaj więc ten, który chce zrozumieć Zakon, pośpiesza wprowadzić w czyn to, co zdołał pojąć. — Patrzcie: Pan nie został poznany, kiedy mówił, ale dał się poznać, kiedy otrzymał gościnę. Dlatego to, bracia najdrożsi, uprawiajcie cnotę gościnności, chętnie czynicie dzieła miłosierdzia.

Zali św. Paweł nie powiedział: „Trwajcie w miłości braterskiej. A nie zapominajcie o gościnności, przez nią bowiem niektórzy nie wiedząc o tym, aniołów przyjęli w gościnę”. (Zyd. 13,1-2). Także św. Piotr napisał: „Bądźcie gościnni jedni dla drugich bez szemrania”. (1 Piotr 4,9). A Prawda boża powiedziała sama: „Gościem byłem, a przyjęliście mnie”. (Mat. 25, 35).

Pewna bardzo wiarygodna opowieść, zostawiona nam przez ojców, mówi:

„Pewien ojciec rodziny z zapalem uprawiał gościnność, jak i cały jego dom. Ponieważ dnia każdego zapraszał obcych do stołu, zjawił się kiedyś wespół z innymi pewien nieznamy, który także do stołu został zaproszony. Pan domu pośpieszył, aby obmyć jego ręce wodą; odwrócił się, by wziąć dzban, lecz spostrzegł nagle, że obcego, którego ręce chciał polać wodą, już nie było. Zdumiał się bardzo, ale następnej nocy zja-

wił mu się Chrystus i rzekł: „Kiedy indziej przyjmowałeś mnie w członkach moich; wczoraj zaś przyjąłeś mnie samego.”

Tak! — Kiedy dnia pewnego przyjdzie na sąd, powie: „Coście uczynili jednemu z tych najmniejszych, mnieście uczynili”. (Mat. 25, 40). Patrzcie: jeżeli przed sądem otrzyma gościnę w swych członkach, osobiście odwiedza tych, którzy go podejmują. Pomyślcie więc, drodzy bracia, jak wielką cnotą jest gościnność!

Zapraszajcie Chrystusa do swego stołu, abyście przez niego zostali zaproszeni na ucztę wieczystą. Ofiarujcie teraz gościnę Chrystusowi obcemu; a wówczas na sądzie ostatecznych on was przyjmie nie jako obcych, których nie zna, ale jako swoich i przyjmie was do królestwa niebieskiego.

Niechaj nas w tym wspomóż on, który jest Bogiem i panuje na wieki wieków. Amen.

Tłum. J. T.



Klasztor św. Marka we Florencji

Fra Angelico

CHRYSZTUS UKAZUJE SIĘ MARIII MAGDALENIE

*) Są to dwie homilie św. Grzegorza Wielkiego Papieża (590 - 604), wygłoszone — pierwsza w dzień Wielkanocy, druga zaś w poniedziałek wielkanocny, do dziś czytane w obu te dni święteczne w brewiarzu. Oba kazania mają cechy pism tego wielkiego Doktora Kościoła: serdeczną prostotę, praktyczność, głębię i bogactwo myśli. Równocześnie dają nam odczuć i zrozumieć ducha starożytnej liturgii i stosunek pierwotnego Kościoła do świąt, w tym wypadku do święta świąt chrześcijaństwa. Ze słów tych kazań, wolnych od wszelkiej retoryki, związanych ściśle ze słowem bożym dnia, rozwija się jak z tematu allegra symfonicznego głęboka i genialnie prosta struktura. Wraz z kaznodzieją nie oddajemy się tylko wspomnieniom, rozamiętywanu wyblakłej pamiętki, ale stajemy wobec Faktu, najważniejszego, dziejącego się wciąż i rozstrzygującego o czasie i wieczności, o ziemi i niebie, o ludziach i aniołach. Kto czytał odkrytą niedawno homilię wielkanocną II wieku, napisaną przez św. Melitona, biskupa Sardes, najstarszą homilię wielkanocną dotąd znaną, pamięta, że w pierwotnym Kościele Pascha była nie tylko świętem Zmartwychwstania, ale czczono w niej tajemnicę chrześcijaństwa w ogóle. Była tajemnicą wszystkich jego tajemnic. I w obu tych homiliach św. Grzegorza jest jeszcze echo przeżywania tajemnic paschalnych jako całości dzieła Odkupienia, choć już w VI wieku Wielkanoc nie była jedynym świętem Kościoła, jak nim była w wieku II.

Ostatnie zarządzenie Ojca św. wprowadzające przez Kongregację Rytów, narazie ad experimentum, powrót do pierwotnej idei i sposobu obchodzenia „wigilii” wszystkich wigilii (św. Augustyn), to jest Wielkiej Soboty (patrz str. 2 ZYCIA), wyrosło, w wyniku pogłębienia się ruchu liturgicznego, z troski Ojca chrześcijaństwa, abyśmy główne i najważniejsze Misterium chrześcijańskie traktowali nie jako wspomnienie, ale tak, jak traktuje je Kościół: jako rzeczywistość. Albowiem „Jezus Chrystus wczoraj i dziś, tenże sam i na wieki”. (Zyd. 13,8).

[Dopisek tłum.].

KS. JAN LISOWSKI (Rzym)

WZNOWIONA LITURGIA WIELKIEJ NOCY

Z GODNIE z przekonaniem św. Pawła, że „jeśli Jezus nie zmartwychwstał, próżna jest wiara wasza, i w grzechach nadal pozostajecie“ (1 Kor. 15, 17), Kościół Boży pragnąc wiarę swą w Zmartwychwstanie wyrazić i uwypuklić, od wczesnych czasów swego istnienia, ustanawiając pamiętkę tego chwalebnego momentu pobytu Chrystusa na ziemi, otoczył święto Wielkiejnocy najbardziej wspaniałymi obrządkami liturgicznymi, podkreślając w ten sposób wagę i znaczenie obchodzonej pamiętki Zmartwychwstania.

Już od bardzo wczesnych czasów poprzedził Kościół samo święto o kr. sem Kwadragesimy, czyli Wielkiego Postu, a dnię poprzedzające bezpośrednio samo święto łącznie z niedzielą palmową, poświęcone ostatnim dniom życia Chrystusa, ubrał w bogatą szatę rozważań w formie odmawiania psalmów (Jutrznie), prorocत्व i Męki Pańskiej, dopełniając w ten sposób obrazu powagi zbliżającej się chwili Zmartwychwstania.

Uroczystości i liturgia poprzedzające samo święto, były wynikiem utartego zwyczaju obchodzenia wigilii. Czas od południa dnia poprzedzającego święto poprzez całą noc gminy chrześcijańskie spędzały na modlitwie i czytaniu Pisma Świętego przygotowując się w ten sposób na to, by w dzień uroczysty przystąpić wspólnie do Stołu Pańskiego.

Święto Zmartwychwstania z tym większą gorliwością było przygotowywane czuwaniem. Tym bardziej, że dzień ten był dniem przyjmowania chrztu świętego przez katechumenów, którzy po dokonanej uroczystości i przyjęciu sakramentu, odziani w białe szaty, składali je dopiero w kościołach, w których chrzest otrzymywali, w tydzień po święcie Zmartwychwstania, w niedzielę nazwaną Białą (Dominica in Albia).

W takim obramowaniu, liturgia Wielkiej Soboty, odprawiana z soboty na niedzielę, miała swój sens i głębokie znaczenie dla biorących w niej udział chrześcijan. A także ceremonie jak święcenie ognia, który symbolizował zmartwychwstającego Zbawiciela, i święcenie wody chrzcielnej, przez obmycie w której katechumeni stać się mieli wiernymi naśladowcami Chrystusa i Jego wybranymi, miało dla nich bezpośrednią wymowę.

Z biegiem jednak czasu wskutek zmieniających się warunków życia, uroczystości zostały przełożone na popołudnie Wielkiej Soboty, a w końcu, w w. XIV, zostały przeniesione na godziny ranne. Ta zmiana godzin nie tylko że nie zgadzała się z duchem liturgii tego dnia, ale nadto nie pozwalała wiernym na tłumne branie w nich udziału. Te też powody skłoniły Ojca Świętego, by dekretem Kongregacji Obrządków pozwolić do nawrócenia do pierwszej formy liturgii Wielkiej Soboty, celem przekonania się, czy nie uda się wywołać tej atmosfery wiary i gorliwości oraz czci wielkiego święta, jaką odznaczały się pierwsze wieki.

Warto przypomnieć, że szczególnie w Rzymie w pierwszych wiekach liturgia Wielkiej Soboty obchodzona była z nadzwyczajnym bogactwem szczegółów i uczestnictwem samego Ojca Świętego. Uroczystości te odbywały się w Bazylice Laterańskiej, katedrze Rzymu. Ojciec święty w otoczeniu niezliczonej rzeszy wiernych, której nawet obszerna bazylika pomieścić nie była w stanie, przy śpiewie przez chór hymnu na cześć Zbawiciela: „Praeconium exultet paschale“ udawał się w godzinach wieczornych do Bazylki, gdzie po poświęceniu Paschału, następowało czytanie Proroctw Starego Testamentu, jako części składowej każdego czuwania. Po odczytaniu pro-

roctw, (co trwało kilka godzin) Ojciec święty udawał się do Bazyliki, gdzie dokonywał poświęcenia wody chrzcielnej. Tam też udzielał on chrztu katechumenom, którzy w okresie Postu w sposób szczególnie przygotowawali się do przyjęcia Bierzmowania. Po dokonaniu tych obrzędów, Ojciec święty wracał do wnętrza Bazylki, by tam przed Konfesją rozpocząć Mszę św. hymnem anielskim: Gloria in excelsis Deo.

Jak już wspominałem, w niedzielę następującą, t.j. Białą, w czasie gdy nowo ochrzczeni składali swe szaty, inni wierni odnawiali ślubowania, jakie składali na chrzcie św.

Liturgia przeznaczona na wigilię Zmartwychwstania dekretem Kongregacji Obrządków z dnia 9. 2. 1951. nie wiele różni się od liturgii wspomnianej wyżej.

Jak powiada rubryka nowej liturgii, biskup lub kapłan, po uprzednim odmówieniu psalterza przepisane na dzień przez rubryki brewiarza, przystąpić ma do poświęcenia ognia, następnie zaś do poświęcenia paschału. Nakładając numery składające się na cyfrę roku bieżącego, wymawiać ma słowa odnoszące się do Chrystusa i wyrażające Jego Majestat i wielkość:

**Chrystus wczoraj i dziś
Początek i Koniec
Alfa i Omega
Któręto są czasy i wieki**

**Niech Mu będzie chwała i władanie
Na wieki wieków. Amen.**

Następnie wkładając gałki z kadzidłem w naznaczone miejsca w formie krzyża, ma mówić:

**Przeź Jego święte rany
I chwalebne
Niech strzeże
I zachowa nas
Chrystus Pan. Amen.**

A zapalwszy nowy paschał błogosławionym ogniem, ma mówić:

**Światło Chrystusa chwalebnie
zmartwychwstałego
Niech rozproszy ciemności serca i
umysłu.**

Poczem w imieniu Kościoła odmówi modlitwę:

**Módlmy się: Niech spłynie,
wszechmocny Boże, na paschał ten
obfitość błogosławieństw Twoich;
i wspaniałość nocy tej, rozjaśnij
Odnowicielu Ukryty; ażeby nie tylko
ofiara, którą złożył w tę noc
zamierzamy, tajemnym światłem
Twoim zajaśniała, ale też, ażeby
gdziekolwiek z błogosławionego
ognia tego płomienia zajaśniał, wy-
gnał wszelkie nieprawości szatań-
skiego podstęp, a moc Twoja by
pomocy użyć raczyła przez
Chrystusa Pana naszego. Amen.**

Po procesji, która natychmiast wyruszy winna, po odczytaniu lekcji Pisma św. i po odczytaniu i odmówieniu Litani do Wszystkich świętych, po poświęceniu wody chrzcielnej, nastąpić ma, jako

główny punkt uroczystości, wzniesienie obietnicy chrztu świętego. Kapłan zwrócony do wiernych, ma do nich przemawiać:

Bracia Najdrożsi! W tę świętą noc, Matka Nasza Kościół święty, pogrążona w miłosnym rozważaniu śmierci i do grobu złożenia Pana Naszego Jezusa Chrystusa, raduje się oczekiwaniem chwalebne-
go Jego zmartwychwstania.

Ponieważ jednak, jak mówi Apostoł, razem z Chrystusem do grobu składani jesteśmy poprzez Chrzest, na śmierć grzechom, razem powstać mamy do nowości życia na wzór tegoż Chrystusa zmartwychwstania, dlatego wiemy, że człowiek nasz dawny, razem po to z Chrystusem ukrzyżowany został, ażeby już więcej poddany nie był grzechowi. Uważajmy więc siebie za umarłych grzechowi, żyjących jednak Bogu, w Chrystusie Panu Naszym.

Ukończywszy przeto pokutę Wielkiego Postu, odnowmy obietnicę Chrztu św., na mocy których, w momencie naszego chrztu, wyrzekliśmy się szatana i jego złych spraw, wyrzekliśmy się świata, który nieprzyjacielem jest Boga i przyrzekliśmy wierną służbę Bogu i Kościołowi. Dla tego też:

**Czy wyrzekacie się szatana?
I wszystkich spraw jego? ...
I wszystkiej chwały jego? ...**
(Odpowiedź: wyrzekamy się)

**Czy wierzący w Boga Ojca wszech-
mogącego, Stworzyciela nieba i
ziemi?**

**Czy wierzący w Jezusa Chrystusa,
Syna Jego Jedynego,
Pana Naszego, narodzonego i ume-
czonego?**

**Czy wierzący i w Ducha Świętego,
święty Kościół powszechny, świę-
tych obcowanie, grzechów odpu-
szczenie, ciała zmartwychwsta-
nie i w żywot wieczny?**

(Odpowiedź: Wierzymy)

Teraz zaś wspólnie odmówmy słowa tej modlitwy, jakiej nauczył nas Boski Zbawca Jezus Chrystus:

Ojciec nasz...

**A Bóg wszechmogący, Ojciec Pana
Naszego Jezusa Chrystusa, który
odnowił nas z wody i Ducha świę-
tego, który też dał nam odpuszcze-
nie grzechów, niech nas strzeże łaską swą; w tymże Jezusie Chrystusie
Panu naszym na życie wieczne.
Amen.**

Po czym następuje Ofiara Mszy Świętej.

Na tle obecnej wrzawy w oddali grzmiących odgłosów wojny; na tle zachwianej równowagi, wzburzonej i zagrożonej w swych podstawach ludzkości; na tle wzmożonej akcji zła i rozpętania się szatańskich namiętności pychy, chciwości i nienawiści; — święte słowa płynące z serca zjednoczonego w modlitwie Kościoła, niech będą wymawiane z tą samą wiarą, jaką ongiś płynęła z serc pierwszych wiernych. Zagrożeni jak i my niepewną przyszłością, nie wahali przyoblekać się w biel chrztu świętego, mimo że — jakże często! — stawała się ona dla nich szatą purpury męczeństwa. Niech słowa zaparcia i wyrzeczenia się szatana i spraw jego, niech słowa wyrzeczenia się świata, który stał się wrogiem Boga dziś więcej, niż kiedykolwiek indziej, staną się dla nas sztandarem bojowym, pod którym zgromadzeni, na moc zła odpowiedzieć potrafimy siłą dobra i miłości. Na wrzawę i hałas świata odpowiemy skupieniem modlitwy i tak staniami się władcami tej siły, jaka bije w myśl przyrzeczeń Pana, z cichością i łagodnością i dobrocią.

Zgromadzeni pod sztandarem Chrystusa w dzień Jego chwalebne-
go Zmartwychwstania, stawiamy czoło światu, jak ongiś nasi poprzednicy, wierni wyznawcy Chrystusa, którzy rzucani zwierzętom na poszarpanie, zadziwiali patrzących na nich gapiów świata, swym spokojem i mocą ducha.

Świat obecny niewiele różni się od dawnego. I dziś, jak ongiś, ludzie niewinni rzucani są ad bestias — w ręce oprawców, sroższych, niż ci sprzed wieków, bo nie tylko życie ciała niszczą, ale nadto i duszę starają się wrzucić do gehenny i nie zostawiają ofiary nawet godności męczeństwa. Niech święte słowa staną się dziś dla świata płomiennym manifestem przeciw złu i przewrotności. Przyjmując życiem ich prawdę, bądźmy skupieni wokół symbolu Chrystusa Zmartwychwstałego. Jak ongiś obiecał Konstantynowi zwycięstwo tak i nam dziś znak Krzyża pozostanie znakiem, w którym zwyciężymy: In hoc Signo vinces!

Ks. Jan Lisowski

**WŁADZOM RZECZYPOSPOLITEJ, OPIEKUNOWI UCHODŹSTWA
POLSKIEGO J. E. X. BISKUPOWI J. GAWLINIE — PRZEWIE-
LEBNYM KSIĘŻOM WIKARIUSZOM GENERALNYM — WIE-
LEBNEMU DUCHOWIEŃSTWU — RODAKOM W KRAJU I NA
EMIGRACJI—CZYTELNIKOM, WSPÓŁPRACOWNIKOM I PRZY-
JACIOŁOM NASZEGO PISMA**

NAJSERDECZNIEJSZE ŻYCZENIA „WESOŁEGO ALLELUJA“

SKŁADA

REDAKCJA „ŻYCIA“

I KATOLICKI ÓSRODEK WYDAWNICZY „VERITAS“

KATOLICKIE NAGRODY LITERACKIE

Rozliczenie nagród literackich za rok 1950

Polskie Władze Kośc. w W. Br.	£100.—
Kat. Ośr. Wydawniczy Veritas	25.—
Czytelnicy Życia i Gaz. Niedz. do dn. 28.5.50. (lista Nr. 8)	65. 5. 6
Wpłynęło po tej dacie:	
Bezimiennie	— 3.—
J. Bartkowski	— 3.—
Jerzy i Anna Grobicy	1.—
Toronto, Kanada	1.—
Red. Aleksander i Irena Grobicy	1.—
Toronto, Kanada	1.—
Kom. Kośc. Bolton	— 5.—
Natalia Plucher	—10.—
S.J. Bujalski	— 1.—
Bezimiennie	— 5.—
Jan Poten	—10.—
Bezimiennie	—10.—
Młodzież i Personel Szkoły Techn. w Lilford	1.10.—

Bezimiennie	— 5.—
J. Kubiński	— 2. 6
T. Sztekmiller	— 2. 6
J. Biedrowa	1.—
T. Sztekmiller	— 2. 6
J. Gottfried	— 1.—

Razem Czytelnicy. 73. 6.—
Dopłata Ośr. Wyd. Veritas 26.14.—

Razem £225.—
Laureatom wypłacono £225.—

List ks. M. Lewandowskiego

Proboszcz parafii Ludford, Ks. Michał Lewandowski przesłał do Kat. Ośrodka Wyd. „Veritas” list następującej treści:

Posyłam pięć funtów na tegoroczne Nagrody Literackie. Uważam sobie to za zaszczyt i za obowiązek zarazem, aby też moją ofiarą-cegietką przyczynić się do odbudowy i rozwoju katolickiej twórczości literackiej — jednego z filarów polskiej kultury.

Nie jestem bogaty. Otrzymuję miesięcznie stałej pensji-zapomogi od Polskiego Komitetu Kościelnego w sumie 10 funtów, z tego 5 funtów wydaję na utrzymanie, a 5 na paczki do Kraju. Ale wiem i to, że wśród tak ofiarnych Parafian chleba mi nigdy nie zabraknie i gdy oni starają się dla swego proboszcza o chleb powszedni, to ja dla nich będę dbał o „Chleb z Nieba” dla ich dusz i pokarm dla ich polskich serc, bo „nie samym chlebem żyje

człowiek, ale wszelkim Słowem Bożym” (Luk. 4.4).

Załączam serdeczne pozdrowienia
Ks. Michał Lewandowski

Proboszcz parafii Ludford otworzył listy składek zarówno w roku ubiegłym, jak i bieżącym.

PIERWSZE WPLĄTY W r. 1951 (do dnia 13.3.1951)

Ks. Michał Lewandowski	5.00.—
PP.: W. Włosek	—10.—
T. Kotrys	—02.—
Irena Pflizner	—05.—
S. Tor	—05.—
xx	—07.—
Ks. Tadeusz Kirschke	1.00.—
Bezimiennie	—10.—
Zawadzki (Lincoln)	—03.—
K. Imach	—02.—
Razem	£ 8.04.00

Wolnomularstwo (MASONERIA)

**X. E. CAHILL T.J.
Str. 43**
Cena 9 d. z przesyłką 1 sh.

O masonerii

**X. Herbert Thurston T.J.
Str. 30**
Cena 3 d., z przesyłką 6 d.
Do nabycia w VERITAS F. P. Centre, 12, Praed Mews, London, W. 2.
OBIE BROSZURY RAZEM Z PRZESYŁKĄ 1/6

PIUS XII PAPIEŻ

ENCYKLIKA HUMANI GENERIS

O pewnych fałszywych poglądach zagrażających podstawom nauki katolickiej.

Cena 1 sh.

Nakład i skład główny:
**VERITAS F. P. Centre,
12, Praed Mews, London, W.2.
Tel.: AMB 6879.**

POLSKA MISJA KATOLICKA W LONDYNIE 1894-1944

**KSIĘGA PAMIĄTKOWA
HISTORIA MISJI — DOKUMENTY — WSPOMNIENIA
JUBILEUSZ 50-LECIA**

Format albumowy — Liczne ilustracje
Papier ilustracyjny — Estetyczna okładka

Cena 7/6 plus porto 6 d.

Zamówienia przyjmuje:

VERITAS F. P. C. — 12, Praed Mews, London W. 2.

JULIAN WIŚNIEWSKI

TRUDNOŚCI CZŁOWIEKA NA EMIGRACJI

W ARTYKULE swym z 10 grudnia ub. r. p.t. „Sprawy celu, sposobu i drogi”, p. J. Kisielewski zwrócił uwagę na fakt, że nasza publicystyka emigracyjna z nielicznymi wyjątkami zadawała się rozważaniem problemów oczywistych, podczas gdy emigrant polski zmagając się w samotności ze sprawami, których nikt poruszać nie chce, albo porusza je mimochodem. Jest to uwaga niesłychanie trafna i na czasie. Istnieje wiele spraw, które do żywego dotykają emigracyjnego człowieka, a są niemal zupełnie przemilczane; istnieje wiele spraw, które go boją i z którymi poradzić sobie nie umie, nie przychodzi mu jednak z pomocą słowo pisane polskiej publicystyki emigracyjnej.

A więc choćby zagadnienie cierpienia, które jest u podstaw wszystkich naszych trosk. Człowiek na emigracji dusi ten problem w sobie i tylko przed sobą samym przyznaje, że cierpi, opinia publiczna bowiem o cierpieniu nie słyszeć nie chce, potępiając prawie każdą o nim wzmiankę. — Dość cierpiętnictwa, mówi się; czas zastąpić cierpienie samowyzwoleniem przez walkę z przeciwnościami. A jednak, pomimo zmagania z losem, w życie nasze wchodzi element cierpienia i trzeba z nim sobie jakoś poradzić.

Ale nie o cierpieniu jako cierpieniu chcę pisać. Notuję tylko jego przemożną obecność, notuję konieczność oświetlenia tego problemu; ostatni bowiem poważniejszy głos w tej sprawie, to dawno wyczerpana broszura Ojca I.M. Bocheńskiego O. P. z 1940 r.

O co natomiast chcę pokusić się w tym artykule, to o pewne usystematyzowanie bolączek człowieka na emigracji jako przyczynek do ewentualnej dyskusji na te tematy.

KŁOPOTY MATERIALNE

Zaobserwujmy życie emigracyjne. Odwiedzmy swych przyjaciół i znajomych. Wejdźmy do ich domów, do obozowych mieszkań. Ale nie jednak jako świąteczni goście. Spotkamy się bowiem z maską na te chwile przybraną. Wejdźmy zwykłą porą i niespodziewanie a zobaczymy, jak życie wygląda na codzień. Przyjrzyjmy się także sobie samym.

Na pierwszy rzut oka wybija się to, że, jak to się mówi, „po uszy” jesteśmy wciągnięci w troskę o byt materialny. A więc sprawa niepewnej posady, czy stypendium, czy t. zw. „assistance board”, i tak z trudem zapewniające utrzymanie. Niemożność odłożenia choćby najmniejszej rezerwy, bo cokolwiek zarobimy, rozchodzi się natychmiast na „zatkanie najpotrzebniejszych dziur”. Za ciasne mieszkania czy to oddzielne, czy obozowe, nie pozwalające ani na chwilę spokoju i samotności. Przepracowanie ponad i tak nadwątlone siły, powodujące dalszą stratę zdrowia i zachwianie równowagi fizycznej! Warunki materialne emigracji są tak na ogół ciężkie, że walka o chleb codzienny wymaga całego czasu, którym dysponujemy. Zamieniamy się w jakiegoś „robotę”, który pracuje by żyć, a żyje by pracować. I na tym koniec. Na nic innego nie ma już ani ochoty ani czasu ani energii.

Te troski materialne, jak zmora wiszące nad nami, i dające się we znaki prawie każdej chwili, wywołują wiele postaw odnoszenia się do dóbr materialnych. Na te warunki zewnętrzne ludzie zaczęli w różny sposób reagować.

Jedni stali się niewolnikami pieniądza, po prostu materialistami praktycznymi. Dominantą ich życia jest dążenie do korzyści materialnych, sądzą, że w ich osiągnięciu znajdują pełne wyzwolenie. Postawy tej nie nazywamy naturalnie materializmem praktycznym — bo jakżeż? — my przecież walczymy z materializmem! — ale przycepiamy jej wygodną etykietę „realizmu”. Jesteśmy realistami — mówimy — dziś liczy się tylko ten, który ma coś w kieszeni lub na koncie w banku. Wobec tego trzeba „zrobić forszę”, wzbogacić się jak najszybciej, odbić się za idealistyczną przeszłość, za te Chocimy, Wiednie i Monte-Casina.

Bywają jednak wypadki, że z „ubóstwienia” pieniądza przerycamy się w jego nienawiść. Postawa taka występuje zazwyczaj u tych, którym z pewnych powodów

nie udaje się osiągnąć materialnych korzyści, do których zdobycia dążyli jako do jedynego celu w życiu, albo nie mają już sił do zdobycia ich ponownie po stracie. Najpierw zaczynają oni to, czego nie osiągnęli albo stracili — krytykować, potem mieć jakby obrzydzenie, które przetrwała się w końcu w nienawiść. Jest to postawa częstsza na emigracji, niżby się zdawało na pozór, zwłaszcza w swej wersji „nienawiści po stracie”.

Niedoceniając dóbr materialnych, pomimo codziennego „parania się” nimi, ma jednak swe źródła zwykle gdzieś indziej. Wydaje mi się, że jest to rezultat pewnej filozofii, bardziej lub mniej świadomej, rezultat kicawych słyszanych kierunków myślowych takich np. jak manicheizm czy nihilizm, przyjmujących, że materia jest rzeczą złą lub że w ogóle nie ma najmniejszego sensu.

W praktyce dnia codziennego postawa niedoceniająca dóbr materialnych przejawia się albo apatią i abnegacją, prowadzącymi do zgorzknienia a czasem i do zdziwaczenia, albo też beztróskim „jakoś to będzie” i „w razie czego inni pomogą”, kończących się zwykle ekonomiczną katastrofą.

Z powyższych wywodów i obserwacji wyciągam następujący wniosek: *człowiek emigracyjny, pod wpływem troski o chleb codzienny i starając się jakoś wytłumaczyć trudne warunki bytowania, przyjmuje postawę w większości wypadków albo przeceniającą albo niedoceniającą dóbr materialnych.*

SPRAWY RODZINNE

Trudności materialne nie są jednak jedynymi trudnościami naszego tutaj życia. Oprócz nich trzeba wymienić drugą z kolei grupę trosk gnębiących emigrację, które dla uproszczenia nazwijmy: „sprawy rodzinne”. Łączą się one organicznie z problemem seksualnym.

Ostatnia wojna i związana z nią nasza emigracja spowodowała powszechne rozdarcie rodzin, tych naturalnych komórek życia człowieka. Rozdzielano ona albo śmiercią, albo przestrzenią żony od mężów, dzieci od rodziców, rodzeństwo między sobą, zmuszając do pozostania jednych po tej, a drugich po tamtej stronie.

Tragiczne, przerażające swą nieoczekiwalnością zgony, których nie widzi się sensu. Okaleczają one człowieka i zostawiają zawsze już jęczącą się ranę. Albo te wysiłki by, jak się to mówiło, „wydostać rodzinę”. Tysiąc i jeden przestępliwań, wszystkie możliwe próby i nie się nie udaje!

Nad wieloma z nas zaciążył los rozłąki, dręczy nas samotność. Czas wprawdzie uśmierza nieco ból, ale jednak wciąż jest gnębiące to pytanie bez odpowiedzi: „dlaczego?”

Szczęśliwi, którzy po zawieszce wojennej w końcu się odnaleźli i są dziś razem. Ale i oni mają swoje trudności. Małżeństwo, to instytucja polegająca na wypracowaniu jedności dwojga osób przez wspólny wysiłek całego życia. Przez wojnę nastąpiła długa przerwa. Każda strona żyła oddzielnie, w odmiennych warunkach, silnie wpływających na zmianę psychiki człowieka. Ta zmiana psychiki nastąpiła. Nie więc dziwnego, że choćby zrazu podjęte z entuzjazmem — a nie we wszystkich wypadkach tak było — to wspólne życie na nowo napotyka na duże trudności. Ponownie od początku staje przed nami problem doszlifowywania się charakterów i przyzwyczajania. Pół biedy, jeśli chodzi o stare małżeństwa, ale cóż mówić o tych, którzy pobrali się niedawno przed wojną i nie znając się właściwie, rozeszli się, by potem po wielu latach, spotkać się po raz wtóry, często jako zupełnie sobie obcy ludzie. A „małżeństwa wojenne” czy „małżeństwa powstańcze”, zawarte bez namysłu, szybko, w warunkach do tak wielkiego aktu zupełnie nieodpowiednich; małżeństwa, zawierane bardziej na wspólną śmierć, niż na wspólne życie.

W tych wszystkich wypadkach łatwiej może nastąpiłoby wzajemne dostosowanie się, gdyby odbywać się mogło we własnym kraju, w oparciu o atmosferę, w której się wyrosło, o szerszą rodzinę, o wspólnotę żyjącą tradycjami katolickimi.

Obca gleba emigracyjna nie tylko nie pomaga, ale dodaje jeszcze trudności, przysparzając prawdziwych czy urojonych rozczarowań, żalów, pretensyj i nieporozumień.

Ponadto trudności, związane z samym pojęciem małżeństwa, gdzie dochodzi tak łatwo i nagminnie do łamania prawa moralnego przez sztuczne ograniczanie liczby potomstwa.

Wiele małżeństw nie wytrzymało próby czasu wojennego, rozchodzili się one i rozchodzą pomimo ponownego spotkania. Sprawy rozwodów, konkubinatów i cywilnych ślubów są wielką bolączką emigracji. Normy i nakazy moralne są łamane nie tylko w małżeństwach i przez małżeństwa, ale zarówno przez ludzi samotnych pod ogólnie przyjętym hasłem, które już nawet nie budzi większych zastrzeżeń: „konieczności wyższości się seksualnego”.

Ci znowu, którzy by chcieli założyć rodziny i ożenić się, stawiają sobie denerwujące pytanie, czy krok taki w obecnej chwili jest krokiem rozsądnym. Na trudność odpowiedzi wpływa niepewność sytuacji politycznej, kłopoty materialne, czasem problem narodowościowy, oraz sprawy związane z przyszłym potomstwem.

Przyglądając się temu, jak człowiek emigracyjny, uwikłany w opisane powyżej trudności, stara się je rozwiązywać, można zauważyć, że wysiłek jego cechuje duża nieumiejętność. Nieumiejętność rozwiązywania tych spraw — poza wyraźną złą wolą, ale nad tymi przypadkami nie warto się zastanawiać w tej chwili — jest wynikiem braku przygotowania w tej dziedzinie, i to tak od strony teoretycznej problemu, to znaczy znajomości zasad moralnych, jak praktycznej, t. zn. wychowania siebie samego. Sprawy rodzinne dają się pod tym względem sprowadzić do zagadnień związanych z sexem, w każdym razie na tym polu najłatwiej jest zauważyć drastyczne trudności i niedociągnięcia. O sprawach seksualnych mówiło się albo mało, albo zbyt dużo, a w obu wypadkach źle. Przemilczenie tych spraw, to wynik „pessimizmu seksualnego”. Przypisywanie im całkowitego panowania nad człowiekiem, to efekt drugiego kierunku, „pansksualizmu”.

A więc jedni z nas mniej lub więcej świadomie uznają, że jest coś zasadniczo złego w tych wszystkich sprawach, związanych z „sexem”, że małżeństwo jest pewnego rodzaju kompromisem, smutną koniecznością udzieloną zwierzęcej części naszej natury. A zatem nie należy się tymi sprawami zajmować, najlepiej tę konieczną uległość wobec niższych instynktów przemilczeć.

Wydaje mi się, że postawa tego rodzaju jest przede wszystkim wynikiem wspomnianego już manicheizmu, owej „pessimae haeresis”.

Z drugiej strony mamy znowu wśród nas opinię, dziś może przeważającą, że dążenie do opanowania instynktu seksualnego jest pozabawione racji. Jako powód takiej postawy podaje się, że współczesna nauka przyznała „libido sexualis” naczelną rolę w życiu ludzkim; stąd konieczność zupełnej swobody w tej dziedzinie, nie związanej żad-

nym prawem moralnym ani tradycjami, w których się wyrosło.

Z powyższych obserwacji i wywodów, myślę, że mogę wyciągnąć następujący drugi wniosek:

Człowiek emigracyjny napotyka na trudności rodzinne i związane z nimi problemy seksualne. W rozwiązaniu tych ostatnich wpada w większości wypadków albo w pesymizm seksualny, albo w pansksualizm.

BRAK CELU

Przedstawione dotychczas dwie grupy trudności nie wyczerpują jednak wszystkich trosk człowieka na emigracji. Zostaje cała rozległa dziedzina, której usystematyzowanie nie jest jednak tak oczywiste jak poprzednich. Starając się i dla pozostałych trudności znaleźć wspólny mianownik; można by stwierdzić, że człowiek emigracyjny stracił swój cel. A z tego wynika cały szereg specyficznych konfliktów.

I znowu zaobserwujmy swoich znajomych, przyjaciół, no, i siebie samych! Wydaje mi się, że łatwo wtedy spostrzeżemy, że niejako zgubiliśmy się, że nie znamy swej roli, że nie rozumiemy własnego sensu istnienia. Życie nasze nie ma zdecydowanego kierunku, nie przedstawia się ono jako jedność, jako całość, w której każdy przejaw, każda czynność, każda myśl ma swój sens i wyraz ze względu na jeden kierunek, w którym ta całość zdąży. Jest ono natomiast zlepkiem różnych niepowiązanych ze sobą części i sfer działania. Mamy tu do czynienia z jakimś pościartowaniem człowieka, który kawałkuje swe życie na niezależne czynniki, który wyobcowuje z siebie: czy to swój zawód, czy poszczególne zainteresowania, czy odruchy społeczne w formie przynależności do takiej czy innej grupy politycznej albo organizacji społecznej, czy wreszcie to, co jest namiastką współżycia z bliźnim, czyli tak zwane „życie towarzyskie”. Te poszczególne fragmenty czy też przejawy naszego życia, to jakby niepowiązane strużki, w które przerzucamy się zależnie od okoliczności, a nawet pory dnia nigdy nie mogąc się w nie w pełni zagłębić i ująć ich we wspólny nurt, spokojnie i świadomie płynący do jasno wytkniętego celu.

Ten brak integralności życia, brak powiązania go w jedność warunkowaną przez cel, powoduje nasze wewnętrzne rozdarcie, przejawiające się, między innymi, stanami stałego niepokoju, strachu i smutku.

Niepokój ten, to nie chwilowa reakcja na warunki zewnętrzne, ale stan, który w nas tkwi głęboko. Przejawia się on i w formie stałego nerwowego podniecenia i pośpiechu, stałego napięcia, niemożności odpoczynku, a towarzyszy mu ciągłe niezadowolenie ze wszystkiego i wszystkich.

Życiu naszemu towarzyszy strach. Boimy się zostać w Anglii i boimy się z niej wyjechać. Boimy się wojny, ale zarówno wojny się pokoju. Boimy się samotności, ale lękamy się założyć rodzinę. Boimy się odpowiedzialności za nasze życie, ale strach nas zbiera na myśl o decyzji zmiany warunków życia. Strach ten wiś nad wszystkimi naszymi poczynaniami, powoduje, że czujemy się jak bezsilne pionki na jakiejś wielkiej szachownicy.

Polacy na emigracji to na ogół ludzie smutni. Nie jest to jednak ten naturalny i zrozumiały smutek, jakim reagujemy na obojętne otoczenie, które właśnie przez swą obojętność nie może nam w pełni odpowiadać. Nie jest to także smutek żalu po tym, do czego byliśmy przywiązani. Smutek nasz, to jakiś głębszy stan naszej psychiki, któremu pozwalamy przeżerać wszystko. Zazdrość, zawiść, znudzenie, kompleksy niższości preradzające się aż w nienawiść, a co za tym idzie — zgorzknienie lub nadmierne i niesłuszna krytyka w naszym smutku mogą mieć swe źródła.

Tak rozdartemu wewnętrznie człowiekowi nie jest dobrze ani z sobą ani z innymi. Współżycie z bliźnimi nie może się ułożyć, ponieważ płynące stąd życie społeczne zatrute jest tym właśnie co poszczególne człowieka gnębi. Na drodze do jedności i zgody będzie stała zawsze nadwrażliwość zranionego wewnętrznie człowieka. To

też współpraca z innymi rodakami (zwłaszcza) pozostawia wiele do życzenia. Szary człowiek emigracyjny ma dość wszelkich polskich organizacji tak społecznych czy kulturalnych, jak zawodowych, politycznych czy też religijnych. Podobnie jak nie rozumie swego własnego celu, nie rozumie on w gruncie rzeczy sensu obecnej emigracji. Potwarza o niej wprawdzie utarte frazesy, nie mniej problem emigracji sprowadza się u niego właściwie do kwestii, czy należy przyjąć obywatelstwo brytyjskie, czy też nie.

A czy lepiej może wyglądać stosunek takiego człowieka do Boga? Należy jednak stwierdzić, że mało wśród nas jest zdecydowanych ateistów. Dla większości sprawy religijnej istnieją, ale istnieją jako nie związane w całość sektor życia. Cóż dopiero mówić o wszystkim inne sumującej nadrzędności religii, o religii — celu! Religijność na codzień zamyka na klucz do szuflady, by mu w życiu nie przeszkadzała. W niedzielę czy od święta szufladę tę odmykamy i paradujemy na „polską Mszę” czy to na „Devonię” lub d: „Bromp-on” w Londynie, czy do obozowych kaplic lub kościołów, rozsiadanych po Anglii — na Mszę z polskim kazaniem. To zatrzymanie religii w naszym życiu jest nam właściwie na rękę. Uśmierza ona niepokój sumienia, daje pozór bogobojnego życia i pozostawia nienaruszony aksjomat, że „Polak i katolik to jedno”.

Wobec tej najszerzej grupy trudności, człowiek emigracyjny przyjmuje na ogół postawę bierną; jak już mówiliśmy — postawę pionka na szachownicy. Przyczyn tych trudności, o ile w ogóle się nad nimi zastanawia, szuka poza sobą, a nie dostrzega ich źródła w sobie.

Wyciągam wniosek trzeci i ostatni: *Człowiek emigracyjny traci swój cel, z czego wypływa szereg konfliktów: z sobą samym, z bliźnimi i z Bogiem, wobec których zajmuje on postawę w większości wypadków całkiem bierną.*

UWAGI KONCOWE

Na zakończenie mych wywodów chcę zrobić dwie uwagi.

Po pierwsze chciałbym odparować ewentualny zarzut, że nie zrozumiałem intencji p. J. Kisielewskiego w cytowanym artykule z 10 grudnia, poruszam sprawy niedostatecznie ważne i wielkie, że w momencie brzemieniennym, zda się, w przełomowe zdarzenia zajmuję się zwykłymi, codziennymi troskami. Odpowiedź na to jest taka: Nie ulęga wątpliwości, że czasy są wyjątkowe, tym nie mniej zawsze i we wszystkim chodzi o człowieka, bo taki a nie inny człowiek staje wobec tych wydarzeń. I choćby się wydawało, że burze przechodzą nam ponad głowami, i niezależnie od nas, że każdy z nas, tych zwykłych emigrantów, nie ma na nie wpływu, to jednak ten brak wpływu jest tylko pozorny. Gdzieś w górze spinają się w jedno zdarzenia wielkie i małe, pozornie wielkie i pozornie małe, gdyż zdarzenia przebiegają i realizują się w człowieku, w każdym poszczególnym człowieku. Podłożem wartościującym te zdarzenia, a więc nadającym im znaczenia, jest właśnie człowiek. By człowiek umiał nadać zdarzeniom ich wartość pozytywną, musi być do nich przygotowany, odpowiednio wychowany. Artykuł mój ma na celu próbę odszukania tych niedociągnięć w wychowaniu, a co za tym idzie — trudności na jakie napotykamy w życiu codziennym. Podobne trudności, z innym tylko współczynnikiem, wystąpią w odniesieniu do t. zw. spraw wielkich.

Druga uwaga dotyczy metody podejścia. Jak pisałem w wstępie artykułu, chodziło mi tutaj tylko o pewne usystematyzowanie bolączek człowieka na emigracji. Po prostu o postawienie diagnozy. Wybrałem przypadki najprostsze i końcowe. Przedstawione typy rysowałem konturowo i dla wyrazistości celowo upraszczałem obraz, by ująć zjawiska w ich czystej formie.

O możliwych próbach wyjścia, o sposobie i drodze, pomówię w następnym artykule.

Julian Wiśniewski

T. Bór-Komorowski

THE SECRET ARMY

Cena 21/-, z przes. 21/6

Wydanie trzecie

wyšlo już z druku

i jest do nabycia w

VERITAS F. P. CENTRE,

12, Praed Mews,

London, W. 2.

GIGANCI

W. MAJDAŃSKI

Książka o najpoważniejszych problemach współczesnego człowieka.

Str. 231

Nakł. Księgarni Św. Jacka

w Katowicach

Cena 6/-, z przesyłką 6/6

Do nabycia w

VERITAS F. P. Centre,

12, Praed Mews, London, W. 2

ZOFIA BOHDANOWICZOWA

WSPOMNIENIA ALGIERSKIE

W BOGATYM DOMU ARABSKIM W EL-BIAR

EL-BIAR znaczy po arabsku studnia, a studnia w Afryce jest źródłem życia. Mieszkam więc w źródle życia i codziennie mam tego dowody. Gdy całe miasto w dole i port i Kasbę owijają lekko nieznosne fale upału, to na wzgórzach jest zawsze przewiewnie; gdy w dole gwar i tłum i wycierpający zgiełk, tu — cisza i spokój wsi. Prawdopodobnie idące niedługo z południa karawany, które przeszły wąwozy i przełęcz Atlasu, a potem przebyły szeroką dolinę Mitidży, trafiły tu na pierwszą studnię i, rozkoszując się chłodną wodą i cieniem pistacji, spoglądały na miasto w dole — cel swej podróży. Aby dotrzeć doń, trzeba było przebyć jeszcze kilka kilometrów po osypujących się stromych zboczach wzgórz, porośniętych klującymi kaktusami i ostrymi jak noże trawami.

Dzisiaj z El-Biaru jedzie się elektrycznym wozelem po wijącej się wśród ogrodów jezdni asfaltowej. Po piętnastu czy dwudziestu minutach jest się w środku miasta. Mimo tej dogodnej komunikacji El-Biar nie przesiąkł Algierem, pozostał miejscem odpoczynku, źródłem przewiewów i jednym ze szczytowych punktów okolicy, skąd się widzi jak na dłoni zatokę i przylądk i pełne morze i port i miasto. Właśnie spod mojej figi widzę wieczorem błysk latarni morskiej na Matifou, i światła w porcie, i gwiazdziste szlaki ulic, i księżyc wschodzący nad morzem, a przez uparte, dzikie, obłądne jak muzyka arabska ćwierkanie cykad dolatuje do mnie szum wielkiego miasta.

O uliczki El-Biaru, kwieciste korytarze, ścieżki wodzące od zachwytu do zachwytu, od czaru do czaru, zalane słońcem i aż błękitne od czystego drżącego powietrza! Ociemnione drzewami, czarne jak tunele, które na końcu wpadają w oszałamiający blask polanki pełnej storczyków! Migołliwe jak pasy jedwabne sadzone brylantami, przetykane złotem, gdy przez liście milion plamek słonecznych rozlewa się po ziemi i za każdym powiewem wiatru tańczy, skacze, kołuje. Trudno jest nie pokochać was nawet wtedy, gdy zostajecie za morzem i oceanem, porzucone na zawsze.

Piszę te słowa w Szkocji. Radośnie jest wiedzieć, że za mgłą i deszczem daleko na innym lądzie kwitną kwiaty i świeci słońce w uliczkach El-Biaru.

Jak okiem sięgnąć, ciągną się ogrody bogaczy. Wśród tych ludzi zamieszkujących wspaniałe wille jest wielu Arabów — bogatych przemysłowców, właścicieli wielkich firm handlowych, akcjonariuszy spółek, posiadaczy niezmiernych winnic.

Jestem zaproszona do takiego właśnie domu bogatego Araba i o umówionej godzinie przyjeżdża po mnie auto z szoferem ubranym po europejsku ale z fezem na głowie.

Mijamy uliczki El-Biaru coraz nowe, coraz zaciszniejsze i bardziej odludne, potem jedziemy między winnicą i murem wielkiej posiadłości, wreszcie skręcamy w bramę i mknijemy pod górę drogą wysadzoną rzędami równiutkich jasnozielonych palm daktylowych, które od razu nisko przy ziemi rozchylają się w wielkie bukiety. Drobne ledwo jeszcze zawiązane z kwiatu owoce barwy złoto-brązowej, zwisają kiściami i nie wiem czemu przypominają mi młode ziołiste i lekko pędy na naszych sosenkach.

Ale oto jesteśmy przed domem. Na tarasie, który jest symfonią białych kolumn, ostrych rzeźbionych łuków i barwnych majolik, czekają na nas dwaj Arabowie. Jeden szczupły, siwy, o zielonych o-

czach i suchej ptasiej twarzy, w szarym garniturze i czerwonym fezie — to sam gospodarz. Drugi otyły, o twarzy śniadej i podłużnej, o wielkich czarnych oczach i wydętych wargach pod cienkim wąsem, ubrany w niepokalanej białości dżellabę i zawój — to brat gospodarza. Są zupełnie do siebie niepodobni. Pierwszy wydaje mi się raczej Turkiem niż Arabem, drugi zaś to czystej krwi tubylec z odwiecznego narodu Berberów.

Witają mnie i prowadzą różaną alejką do cienistej różanej altany. Siadam wygodnie na trzcinowym fotelu i z zachwytem patrzę przez kwiaty róż na rozległą dolinę za ogrodem, skąd przylatuje powiew wiatru.

Siwy Arab jest rozmowny. Od razu opowiada mi o historii Algieru, potem przechodzi na sztukę arabską. Słucham z napięciem, tym bardziej że mój rozmówca jest człowiekiem wykształconym i umie opowiadać barwnie. Po francusku mówi prawie bez akcentu.

— „Czysta sztuka arabska, oryginalna, wyrosła z tej ziemi, prawie nie istnieje, — rzekł p. El-Hadż-Zubir, — Znajdzie ją pani co najwyżej w ubogiej ceramice wiejskiej. Ziemia algierska, jak cała północna Afryka, leży na skrzyżowaniu wpływów Zachodu i Wschodu. Ciągłe przelatywały tu fale coraz nowych kultur, zmywając cechy rodzime. Najpierw to był Rzym i Grecja, potem Hiszpania — z jednej strony, Bizancjum i Turcja — z drugiej. Wszędzie są ślady sztuki obcej, przekształconej tylko przez Arabów. Grecki akant, zdobiony głowice kolumn, przeszedł na mahometanizm i kwitnie nadal w kolumnach meczetów. Andaluzyjska arabska — bujna i soczysta — stała się nieco ascetyczna przez wpływ bizantyjski, ale nabrała również trochę żywotności berberyjskiej — i oto wiję się, skręca, występuje i gaśnie, krąży, zawraca w niezmordowanej płata-

nie lodyg, gałązek i palmowych liści. Geometria z wieku na wiek nabiera rozpędu, tworzy gwiazdę ośmiokątną, rozetę o szesnastu ostrzach, nieskończone dziesięciokąty, które się wiążą, przedłużają i powtarzają tworząc istne delirium linii. Z wieku na wiek zanika też w ornamentyce pusta przestrzeń. Arabska zapełnia sobą wszystko. Sztuka poświęcona jest Bogu, a czyż Bóg nie jest wszędzie? My nie znosimy pustki nawet w muzyce. Każdą pauzę zapełniamy ornamentacją muzyczną. Ani w arabesce ani w naszej pieśni nie może być sekundy milczenia.

Widzi pani, — uśmiecha się p. El-Hadż-Zubir — umysł ludzki ma dwie wielkie przeszkody: przestrzeń i czas. Sztuka maurytańska kasuje je, jedną napełniając ornamentem, drugą — melodią.“

Słucham patrząc na dolinę za ogrodem i myślę sobie, jaką ta ziemia afrykańska rodzi w człowieku tęsknotę za Bogiem, jeśli wszystko, co człowiek tu tworzy, jest przede wszystkim wyrazem tej tęsknoty. („Niespokojne jest serce ludzkie, póki nie spocznie w Tobie“ — przypomina się św. Augustyn — afrykańczyk).

Mój sąsiad zaś ciągnie dalej:

— „Pismo arabskie, które jest również motywem zdobniczym, dzieli się na dwa rodzaje: kufik i kursywę. Kufik jest surowy, geometryczny, nie zna wymyślnych zakrętasów. Z wiekami staje się nieco wiotki i ozdabia swe litery dyskretnymi motywami roślinnymi. Kufik jest berberyjski, wyrósł z tej ziemi. Kursywa przyleciała z Andaluzji w płasach zachodnich wiatrów. Jej litery tańczą, wyginają się, biorą się za ręce i biegną razem w oszałamiającej rytmice. Przy odczytywaniu dekoracyjnych napisów arabskich należy być ostrożnym. Dla piękności całego rysunku artysta przedstawia nie-raz litery i przed odczytaniem na-

leży sobie najpierw te litery poumieszczać na właściwym miejscu.

— Tak to, tak... — kończy w zamysleniu pan El-Hadż-Zubir — Ba! a gdybym pani jeszcze opowiedział o wiecznie ścierających się tu dwóch prądach: koczowniczym z południa i osiadłym z północy. Jak się te prądy przenikały, jak z pochodami pasterzy i głodnych stad wkradał się w osiadłą sztukę, jako tako już wymuskała, ton nowy, barbarzyński, dziki, jak np. w pieśni pałacową wplątywało się wycie pasterskiego fletu... Tego wszystkiego nie da się opowiedzieć na poczekaniu... A tymczasem napijemy się kawy.

Z głębi ogrodu wyszły ku nam dwie młode dziewczyny niosące tacę. Gospodarz przedstawił je jako swe córki. Zakrzętały się przy stole i za chwilę piłam już świetną aromatyczną kawę z migdałowymi ciastkami. Rozmawiałam z dziewczętami. Obie chodzą do szkoły francuskiej, biorą lekcję gry na fortepianie, mówią jak paryżanki. Ale gdy na nie patrzę, znowu widzę ten kontrast w ich twarzach, jaki mnie uderzył w gospodarzu i jego bracie. Widocznie p. El-Hadż-Zubir odgaduje moje zaciekawienie, bo błyskając w śmiechu pysznymi zębami powiada:

— „Oto ma pani przed sobą żywy przykład wpływów Wschodu i Zachodu w moich córkach. Ta młodsza ma złotawe włosy, zielone oczy, cerę jasną — to Turczynka; starsza wygląda przy niej jak noc — niech się pani przyjrzy jej podłużnym czarnym oczom — to Andaluzyjka. Przodkowie naszej rodziny wywodzili się — jedni od tureckich janczarów, drudzy od Maurów hiszpańskich. I gdzie tu mówić o czystości sztuki, skoro nie ma nawet czystości rasy? Ale nie należy niczego uogólniać. Są wśród Arabów typy tutejsze, nieskażone, wywodzące się z rodów, które żyły tu jeszcze za czasów panowania Rzymian. Spotka ich pa-

ni wielu w samym Algierze, a jeszcze więcej na południu“.

Po kawie idziemy oglądać dom. Z tarasu wchodzimy do ciemnej sieni zastanej dywanami, zawieszoną bronią arabską i turecką, a potem mijamy nieskończone pokoje, gdzie stoją ciężkie rzeźbione szafy, stoły, fotele, które mają po kilkaset lat. Są to meble przywiezione z Syrii, z Egiptu, z Turcji, z Hiszpanii. Uderza nie oczy jakaś komoda cała z luster i rźniętego szkła. Lśni jak olbrzymi brylant i mieni się kolorami tęczy. Podobno robota syryjska.

W jednym pokoju wiszą płótna Dine'ta. Ten malarz francuski podpatrzył duszę muzułmańską w jej najistotniejszym wyrazie: w modlitwie. Stoję olśniona przed jego wielkim obrazem, którego tytułu nawet nie znam i zresztą nie potrzebny mi, bo obraz tak wyraziście do mnie przemawia i zdaje się przenosić mnie nagle z domu p. El-Hadż-Zubira w pustynię, gdzie oślepiające słońce leje się strumieniami na białe piaski. Tą pustynią idą Arabowie. Może to pielgrzymka do Mekki, a może wędrowna wprost do Boga. Postacie nachylone w ruchu, rozwiane burnusy od szybkich kroków, w twarzach fanatyzm i zapamiętanie w przestrzeń. Oczy ich są po prostu głodne jakiegoś widoku, do którego dążą. Są tu i młode wyrostki, i brodaczy mężowie, i siwi starcy — wszyscy jednakowo żarliwi. Ani cienia w tych twarzach rozmodnionej rzewności chrześcijańskiej, wyrazu tkliwej ekstazy, śladu łez w oczach. Z ich oblicza bije tylko płomień, nienal szaleństwo. I takie mieli spojrzenia, gdy szli na wojnę świętą, tak patrzają pewno, gdy za imaniem powtarzają słowa modlitwy w meczecie, lub gdy podnosząc dłoń na wysokość czoła obracają się ku wschodowi w godzinę maghribu — modlitwy wieczornej. Owija mnie blask i upał, bijący z tego obrazu, urzekają mnie oczy tych ludzi, słyszę chrzęst piasku pod ich stopami i szelest burnusów.

Pan El-Hadż-Zubir dotyka mego ramienia i mówi:

— „Dine't umiał malować Afrykę. Dwóch tylko malarzy umiało to robić. Ten drugi — to Jan Styka.“

To nazwisko wymówione w podalgierskiej posiadłości przez Araba, napełnia mnie radością i dumą. W tej chwili przypominam sobie, jak kiedyś w Zachęcie warszawskiej wpaływałam się w jeden obraz Styki. W czerwonym świetle zachodzącego słońca głowy Berbera i Berberki roześniane, szepejące coś do siebie. Wtedy, patrząc, myślałam: nieprawdopodobne! przesada! Takiego światła nie ma na świecie, ani takich drapieżnych, dzikich uśmiechów. Teraz wiem, że w obrazie Styki, była tylko najrealniejsza prawda, bez cienia fantazji.

Ponieważ właśnie w tej chwili takie czerwone światło zalewa pokój i ogród, a sylwetki cyprysów stają się zupełnie czarne i tylko od zachodniej strony spływają po nich gorące strugi krwi, żegnaj pana El-Hadż-Zubira i jego rodzinę i obdarzona najpiękniejszymi różami z ich ogrodu, wracam do siebie.

Noc zapada nieprawdopodobnie szybko i, gdy wchodzę na podwórze, nie widzę już figi. Wsiąka w czarność, straciła kształt, został jej tylko głos. Tym głosem pieściwym podobnym do westchnienia wita mnie pochylając niewidzialne czoło: saalam aleik...

Zofia Bohdanowiczowa

BOLESŁAW KOBRZYŃSKI

JANKO-POETA

Wiersze? Wiersze to gwiazdki z nieba.
Na samodziół spadają deszczem.
Służę wieżom poezja zgrzebna
przetykana słońcem i dreszczem.

Pisać wiersze — ach, to ozdobić
w wycinanki kominiek brzydki.
Coś, jak haftem obszywać obrus
lub paciorki nizać na nitki.

I latawca słońcem obrębiać,
i pozdrawiać dzbanek uchaty,
i z czerepu poić gołębia.
i w gościnę zapraszać światło.

Czcic i kochać kwietne kieliszki,
bać się, kiedy w noc huczy sowa
pośród sosen. Piaski uciszać,
rzeźbić serca w korze brzoźowej.

Gdy za rzeką skaczą ogniki,
śpiewać w las o wiankach i chłopcu
i u brzegów nocy niezwykłej
szukać dla nich kwiatu paproci.

Po ulewie, która na ukos
siecze w twarz, iść z pieśnią na ustach
i pod tęczy pogodnym łukiem
kleknąć wierszem nad duszą chróstu.

Na ugorach, spod różdżki śpiewu
czarodziejsko niech źródło tryska,
pielić pozór-perz, co się krzewi
koło młyna na ziemniaczyskach.

Szczepić mowę jak dziczkę w sadzie,
usynawiać słowa-zdobiny
i, jak pasterz owce, prowadzić
od spokojnych brzoź do dębiny.

Oto wiersze: wraz świegot szczygli
i powaga. Jak wszystko wkoło.
W środek burzy iść jak na figle
i „na zdrowie!“ śpiewać wesoło.

W uroczystym bukowym gaju
dzwonić na mszę dzwoneczkiem leśnym
i kwiatami krynicę małą.

Być jak praca i być jak pieśni.

JÓZEF JASNOWSKI

DZIEJE POLSKI PO ANGIELSKU (I)

POPZRZEDNICZY „THE CAMBRIDGE HISTORY OF POLAND”

POD koniec ubiegłego roku ukazał się, dawno zapowiadany, pierwszy tom wydawnictwa „The Cambridge History of Poland”, opracowany zbiorowo przez zespół polskich i obcych historyków, pod redakcją W. F. Reddaway, J. H. Penson, O. Haleckiego i R. Dyboskiego. Obejmuje on dzieje Polski od r. 1696 i stanowi, łącznie z tomem 2, wydanym w roku 1941) najobszerniejszy i najwzschroniejszy obraz naszej przeszłości, jaki dotąd opublikowano w języku angielskim (2).

Znaczenie tego wydawnictwa, zarówno naukowe jak i propagandowe, jest ogromne. Dla historyków anglosaskich będzie ono stanowić pierwszorzędne źródło informacji, podane bezstronnie, w opracowaniu zadawalającym najnowsze wymogi badań naukowych, a dla przeciętnej czytelnicy, chcącego się czegoś dowiedzieć o naszej przeszłości — będzie to jej żywy obraz, nakreślony w przystępnej formie, z dbałością o styl i język. Połączenie naukowości (źródłowości) z popularnym ujęciem wykładu jest jedną z licznych zalet tego dzieła. Z okazji wydania „The Cambridge History of Poland” teraz już w całości, warto poświęcić nieco uwagi uprzednim opracowaniom dziejów Polski po angielsku.

2

Pierwsza tego rodzaju praca wiąże się ze zgonem Jana III oraz elekcją Augusta II, który, jeszcze jako książę saski, zyskał sobie pewną popularność w angielskich kręgach politycznych, niechętnych Polsce ze względu na jej przewlekłe wojny z Turcją, z którą Anglia miała dobre stosunki polityczne i handlowe. Pokojowo-polski w Karłowicach oraz wstąpienie na tron Augusta II spowodowały zmianę w opinii angielskich kręgów politycznych: zaczęło się nawet liczyć z możliwością wciągnięcia Polski do konfliktu europejskiego po stronie Anglii. Na tym też zrodziła się potrzeba bliższych wiadomości o jej aktualnym stanie politycznym oraz przeszłości. Dostarczenia ich podjął się Bernard Connor, który uprzednio, jako lekarz, bawił przez kilka lat w Polsce i poznał jej ustrój, stosunki polityczne a nawet dzieje. Jego „History of Poland”, wydana w roku 1698, składa się z dwóch części: w pierwszej znajduje się zwięzły zarys przeszłości a w drugiej opis obecnego ustroju, stosunków społecznych, gospodarczych, i wyznaniowych oraz krajów lennych. Część druga została opracowana przez Mr. Savage, który — jako źródło — wyżył pamiętnik Connora z okresu jego pobytu w Polsce (za czasów Sobieskiego). Pamiętnik ten należy uważać za zaminiony; ale nawet to, co nam z niego przekazał Mr. Savage, jest bardzo cenne i ciekawe (2).

Dwa ostatnie rozbiory oraz powstanie Kościuszkowskie wywołały nową falę zainteresowań przeszłością Polski. Owocem ich była zwięzła historia opracowana przez S. Jones'a i wydana w roku 1795. Autor nie znał naszego kraju i jego języka; materiał czerpał z opracowań francuskich i niemieckich, a częściowo także i z dzieła Connora. Ponadto Jones nie był historykiem ale dziennikarzem i bardzo aktywnym działaczem masonskim. Zajmował dość wysokie stanowisko w loży a nawet redagował przez pewien czas „The Freemason's Magazine”, gdzie od czasu do czasu, pomieszczał wiadomości o Polsce; być może że i zachęta do napisania jej historii wyszła z polskich kręgów masonskich (3).

3

Z wybuchem i upadkiem powstania listopadowego zbiega się wydanie dwóch opracowań dziejów Polski. Najpoważniej przedstawia się dzieło S. A. Dunham'a, historyka-erudyty, autora kilku poważnych prac. Przystudiował on dostępne mu źródła drukowane i opracowania w języku łacińskim, francuskim, niemieckim i angielskim, odnoszące się do przeszłości Polski i na ich podstawie napisał bezstronny zarys jej dziejów, doprowadzony do roku 1830. (4).

Mniej źródłowa jest historia, opracowana przez J. Fletchera i doprowadzona do upadku powsta-

nia listopadowego. Z treści wynika, iż autor pisał ją dość pośpiesznie i że nie zadał sobie trudu, by wystudiować, równie gruntownie jak Dunham, drukowanych źródeł polskich. Sądząc z ostatniego rozdziału oraz z portretów Kościuszki i księcia Adama Czartoryskiego — dzieło Fletchera było częściowo inspirowane przez czynniki polskie (5).

Rzeczą godną zanotowania jest również to, iż w pierwszej połowie XIX stulecia zostały napisane aż trzy popularne zarysy historii Polski dla dzieci i młodzieży (6), oparte, jak się zdaje, na pracach Dunham'a i Fletchera. Nie stoją one jednak w żadnym związku z wybuchem i przebiegiem powstania listopadowego i nie odznaczają się specjalnym sentymentem dla Polaków.

Osiedleni w Anglii emigranci po powstaniu listopadowym zdołali w ciągu trzydziestu kilku lat wyprodukować sporą ilość wydawnictw propagandowych w języku angielskim, wśród których jest również kilka popularnych zarysów dziejów Polski. Opracowania te nie wnoszą jednak żadnych nowych elementów, które by mogły pogłębić znajomość naszej przeszłości wśród Anglików. Pierwszym, który próbował dostać się pod skrzydła Kłosa był Napoleon Feliks Zaba, bardzo ruchliwy propagator i działacz emigracyjny a także i poeta — ale bez iskry talentu. Niewiele go też okazał jako historyk, mimo że wydał aż dwa krótkie zarysy przeszłości Polski, dedykowane wybitnym osobistościom z angielskiego świata politycznego (7).

W latach 1841 — 1843 ukazały się kolejno aż trzy historie Polski po angielsku: J. B. Ostrowskiego, L. Szadurskiego i J. F. Gomoszyńskiego.

Ostrowski, utalentowany ale nie zawsze prostolinijny publicysta, przedzierzgał się na pewien czas w historyka z zamiarem, jak sam przyznawał, odbrązowienia przeszłości Polski z fałszywych pojęć. Dzieło swoje planował na trzy obszernie tomy, z czego tylko dwa pierwsze ukazały się w druku (doprowadzające dzieje Polski do roku 1572). Wiedzy formalnej i należytego przygotowania metodycznego nie posiadał. To też jego wykład a rzeczywistość historyczna są jak dwie równoległe, które się zbiegają ale dopiero w nieskończoności. Syntezy i uogólnienia, niekiedy trafne, częściej powierzchowne a czasami wprost fałszywe — dowodzą, iż autor nie oparował należycie materiału, o którym traktuje. Chwali się wprawdzie, iż przeczytał wszystko, co się znajduje w British Museum odnośnie historii Polski — nie powołuje się jednak na żadne źródła ani opracowania, uważając przypisy, odcytałe i cytaty za szarlatanerie.

Mimo tej nieprawdopodobnej metody naukowej — Ostrowski napisał dzieło, które — jak na owe czasy — posiadało szereg zalet nieosiągalnych dla innych „historiografów” emigracyjnych z terenu Anglii. Cechuje je potoczność i jasność wykładu, język i styl przykuwający od razu uwagę czytelnika oraz wszechstronność ujęcia dziejów Polski, z uwzględnieniem ustroju, spraw społecznych i gospodarczych, religijnych, wojskowych i geopolitycznych. Gdyby Ostrowski posiadał wiedzę Lelewela oraz jego pracowitość i metodę naukową, byłby, przy swoim talencie pisarskim, po dziś dzień jednym z najwybitniejszych i zawsze poczytnych historyków polskich (8).

O „wypracowaniach” na temat dziejów Polski, napisanych i wydanych przez Szadurskiego i Gomoszyńskiego niewiele można powiedzieć. Obaj byli oficerami zawodowymi i — oparowawszy nie tylko język angielski — wygłaszali od czasu do czasu popularne odczyty o przeszłości Polski, obliczone głównie na wrażliwość angielskiej płci pięknej. Szadurski, wydając swoje „dzieło”, zadedykował je nawet „To the Ladies of England”. Korzyść z tych publikacji była niewielka; razi w nich niezdarne ujęcie, ubóstwo faktów oraz niemiecka egzaltacja na temat przeszłości Polski, o której obaj autorowie niewiele mieli do powiedzenia. Jedyne, co zasługuje na podkreślenie — to wydanie owych „dzieł” drogą subskrypcji, pokrytą całkowicie przez Anglików. Do tej samej kategorii nieudanych „historii Polski po angielsku” należą dwie książeczki, napisane również przez byłych oficerów armii Królestwa Kongresowego: L. F. Su-

chorzewskiego i hr. Zabrockiego. Są to raczej broszurki propagandowe, w których mieszają się historia Polski oraz osobiste wspomnienia autorów z okresu powstania listopadowego (9).

Najpoważniej w tej serii emigracyjnych wydawnictw przedstawia się „Poland” Waleriana Krasieńskiego opublikowane zeszytami w r. 1855. Krasieński zaczął się interesować historią dopiero na emigracji i to głównie od strony reformacji w Polsce. Po dwudziestu latach studiów powziął myśl napisania dziejów Polski po angielsku. Jego wiedza i umiar w sądach o ludziach i wydarzeniach pasują go na prawdziwego i jedyne historyka pierwszej emigracji polskiej w Anglii. Szkoda tylko, że „Poland” nie zostało dokończony z powodu zgonu autora (10).

W r. 1885 ukazało się jeszcze jedno opracowanie dziejów Polski po angielsku pióra polskiego autora. Był nim Kalikst Wojski, jak się zdaje emigrant po roku 1863, osiedlony w Paryżu. Opowiada on we wstępie, iż zawarte w jego książce wykłady były wygłoszone w r. 1880 nad jeziorami Gopiem do miejscowej ludności, a następnie wydane po angielsku w formie książki. Jest to popularny i poprawny wykład historii politycznej Polski, bez ambicji do naukowości, doprowadzony do roku 1795. (11).

W dziesięć lat po książce Wojskiego ukazała się ostatnia w dziejach następnego wieku historia Polski po angielsku, napisana przez Anglika, prof. W. R. Morfill'a, wybitnego sławistę z Oxfordu. Morfill znał doskonale język i literaturę Polski i był autorem pierwszej, jak się zdaje, gramatyki języka polskiego dla Anglików. Z prakceją politycznych był jednak raczej rusofilem. Jego wypowiedzi o Polsce są bezstronne, ale bardzo chłodne i bez cienia entuzjazmu. Niewątpliwie rzeczniczek „sprawy polskiej” wśród swych rodaków nie był. Mimo to jego dzieło posiada szereg cennych zalet. Jest on pierwszym angielskim autorem, piszącym o przeszłości Polski, który znał i uwzględniał naszą historiografię. Ten fakt oraz naukowe podejście do zagadnienia czynią z jego książki poważną pozycję, która mimowolnie nabrała dużego znaczenia propagandowego przez wydanie jej w popularnej serii „The History of Nations”. Po książce Dunham'a jest to niewątpliwie najlepsza rzecz o dziejach Polski, jaka wyszła spod pióra Anglika w XIX wieku. W założeniu miała to być historia polityczna. Morfill uwzględnił jednak zagadnienia ustrojowe, kulturalne oraz społeczne, przez co nakreślony przezeń obraz przeszłości Polski stał się bardziej plastyczny i wszechstronny (12).

Wybuch pierwszej wojny światowej wydobyl automatycznie z zapomnienia sprawę Polski i uczynił ją jednym z ważniejszych problemów powojennego porządku politycznego w Europie. Wnet po rozpoczęciu działań wojennych każde z zaborczych państw wystąpiło z jakąś deklaracją pod adresem Polaków, mało obiecującą i jeszcze mniej wiążącą. Państwa alianckie zachowywały poprawne milczenie w tej sprawie, tak z powodu ignorancji, jak i ze względu na „kochanego sprzymierzeńca” (carską Rosję), którego racjonalne rozwiązanie niepodległości Polski musiałyby najdrożej kosztować. Milczenie owo miało szczególnie niebezpieczną wymowę, jeśli chodzi o Anglię, gdyż zainteresowanie się Polską ograniczyło się do jej przeszłości. Owocem tego było aż sześć opracowań dziejów Polski pióra autorów angielskich w latach 1914 — 1919.

Szereg ich otwiera krótki zarys prof. W. A. Phillips'a wydany w r. 1915 w popularnej serii „Home University Library”. Jest to właściwie historia Polski od pierwszego rozbioru do wybuchu wojny światowej, gdyż dzieje do r. 1772 opowiedziane są bardzo krótko i pobieżnie. Phillips, naoczny profesor historii nowożytnej na uniwersytecie w Dublinie i, jak się zdaje, katolik, znał dobrze zagadnienia, związane z dziejami Polski XIX wieku, traktując o nich w swoich dawniejszych pracach. Języka polskiego nie znał i opierał się na źródłach francuskich, angielskich i niemieckich. Jego historia Polski, pisana dla potrzeb aktualnych, ma nieco publicystyczny charakter. W

konkluzji wypowiada się autor za koniecznością odbudowy Polski, nie podając jednak ani w jakiej formie (niepodległość czy autonomia), ani też w jakich granicach. Jeśli jednak — konkluduje Phillips — do tej odbudowy nie dojdzie i państwa alianckie pozostawią Polskę na pastwę jej złego losu, to ów los, wcześniej czy później, zwróci się przeciw nim (13).

Z podobnie aktualnych potrzeb podjął się opracowania historii Polski publicysta amerykański Angelo Salomon Rappoport. Jego dziełko jest jeszcze bardziej popularne niż historia Phillips'a i również doprowadzone do wybuchu wojny światowej, jednak bez nawiązania do problemów odbudowy Polski. Autor podkreśla jedynie rolę, jaką odgrywała ona w historii Europy, reprezentując w zespolu jej narodów „the spirit of independence and love of liberty”. (14).

Również ostrożnym w wypowiedziach co do przyszłości Polski był autor trzeciego z kolei zarysu jej dziejów, E. G. Slocombe. Znał on język polski i przy pisaniu swej książki posługiwał się także opracowaniami historyków polskich. Jego „Poland” zawiera zarys historii politycznej naszego kraju doprowadzonej do wybuchu wojny światowej. W konkluzji stwierdza, że przyszłość narodu polskiego, liczącego 23 miliony, może być narazie tylko przedmiotem domysłów; z drugiej jednak strony, gdyby nowa Europa wyłoniła się po wojnie bez nowej Polski „free in polity, faith and speech” — moralna strona tej wojny byłaby przegrana. (15).

Mimo tego zastrzeżenia Slocombe nie stawia jednak wyraźnie sprawy odbudowy państwa polskiego w jego naturalnych granicach. Już całkiem publicystyczno-propagandowy charakter ma historia Polski, napisana przez J. H. Harleya. Autor był profesorem socjologii na uniwersytecie londyńskim, a równocześnie dziennikarzem. Do napisania historii zabrał się raczej w charakterze dziennikarza niż socjologa i to — jak się zdaje — za namową polskich czynników politycznych, działających we Francji i w Anglii, o czym świadczy przedmowa, napisana przez Władysława Mickiewicza i liczne aluzje w tekście książki. Mimo nieukrywanych sympatii i wyraźnego postawienia konieczności odbudowy Polski — autor nie wysuwa żadnych postulatów ani co do formy owej odbudowy (niepodległość czy autonomia), ani też co do granic (16). Być może, że inspirowane go „czynniki polskie” same wówczas jeszcze nie wiedziały „co z Polską będzie”!

O braku odważnego postawienia tej sprawy świadczy również wydana w r. 1917 historia Polski, napisana przez majora F. E. Whittona (17). Autor nie podaje wprawdzie z jakiego materiału źródłowego korzystał przy pisaniu swego dzieła — miał jednak rozległe odczytanie, zwłaszcza w odniesieniu do XIX wieku. Widoczne jest u Whittona nastawienie antyniemieckie, zrozumiałe w tych czasach, ale i pod adresem polityki rosyjskiej wobec Polski wymierzone jest wiele krytycznych uwag. W konkluzji swego dzieła dochodzi do wniosku, iż odbudowa Polski jest mało prawdopodobna. Musiałaby się ona bowiem oprzeć na dobrowolnych wyrażeniach zwycięzców (tj. Rosji) i okrojeniu zwyciężonych (Austrii i Niemiec) z ich posiadłości terytorialnych. Wobec tak twardej konieczności — majorowi Whittonowi zrobiło się nagłe żal rozbioreców Polski; orzekł więc proroczo, iż jej odrodzenie jako państwa jest tak samo prawdopodobne, jak odbudowa Turcji z granicami pod Wiedniem lub państwa Saracenów z posiadłościami w Hiszpanii. Należy nadmienić, iż zdanie to było wypowiedziane już po upadku domu Romanowów w Rosji.

Ta niezrozumiała wprost niechęć autorów angielskich do przyznania Polsce prawa do niepodległości uderza szczególnie silnie w zarysie dziejów Polski, napisanym tuż przed odzyskaniem przez nią niepodległości. Autorką jego jest Julia Swift Orvis; mówi ona we wstępie, że podjęła się napisania swego dzieła w chęci zainteresowania przeszłością Polski jak najszerzej rzeszy czytelników. Języka polskiego nie znała i opierała się głównie na pracach niemieckich, częściowo także i na francuskich. Wartość jej wykładu obniżają wnioski i komentarze o niektórych wydarzeniach z dziejów Polski XVIII (roz-

biory) i XIX (powstania) stulecia. Przybierają one osobliwą formę, gdy autorka, w konkluzji swej książki, wypowiada poglądy na temat odbudowy niepodległości Polski. Odbudowa ta, nawet w ramach Królestwa Kongresowego, wydaje się jej niemożliwa, a już wprost za absurdalne uważa połączenie trzech zaborów w jedno państwo, ze względu na ogromne różnice, jakie dzielą zamieszkujących je Polaków; wynikają one nie tylko z tego, że dzieliło ich od siebie obce panowanie, ale jeszcze więcej z różnic w ich charakterach dzielnicowych. „Polska — konkluduje pani Orvis — nie jest jeszcze dostatecznie odrodzona do odzyskania niepodległości. Najlepsze warunki dla jej przyszłego rozwoju to pozostanie w ramach imperium rosyjskiego”.

Jeżeli się zważy, iż zdanie to zostało wypowiedziane w chwili, gdy Rosja wypadła już całkowicie z szeregu alianckich jako sprzymierzeniec, a nawet zajęła wrogo wobec nich stanowisko — zrozumie się, jak wielki brak wyobraźni cechował pewne kręgi intelektualistów angielskich. Absurdalność owych wniosków potęguje się jeszcze bardziej jeśli się zważy, iż wspomniana książka pani Orvis ukazała się w roku 1919 — a więc już po odzyskaniu przez Polskę niepodległości (18).

Do grupy omówionych powyżej wydawnictw zaliczyć należy również serię pamfletów, opracowaną przez sekcję historyczną Foreign Office pod redakcją prof. S. W. Prothero. Pamflety te wprawdzie wydano dopiero w r. 1920, ale napisane zostały w 1917, gdy urząd ten przygotowywał się do konferencji pokojowej. Dziejów Polski dotyczą cztery pamflety: jeden obejmuje ich rozwój od roku 1571, a trzy omawiają wydarzenia, dotyczące Polaków w poszczególnych zaborach, ilustrowane danymi statystycznymi. Pamflety te nie przesądzą niczego w sprawie przyszłych losów Polski (a może przesądzały, tylko skorygowano je przed ogłoszeniem drukiem) i nie odznaczają się żadnym oryginalnym ujęciem. Ciekawe są jedynie niektóre uwagi ich autora (czy autorów) o przyczynach upadku Polski. Nastąpił on raczej skutkiem zaborczej polityki sąsiadów niż słabości wewnętrznej kraju, słabość ta dostarczyła im jedynie pretekstu. Główne cechy tej słabości to: wadliwy ustrój, który pozorował republikanizm a był w rzeczywistości nierządem oligarchów, oraz fałszywe stosunki społeczne. „Society in Poland — pisze autor — was badly balanced. In the country all power lay in the hand of the nobles, in the towns in the hands of the Jews”. (19).

W uwagach o wymienionych autorach pominięto do wszystkiego, co dotyczy uchybień rzeczowych, a więc nieścisłych uogólnień, wniosków sprzecznych z podanymi faktami oraz tychże faktów niedostateczną znajomość. Wykazanie tego rodzaju braków zajęłoby zbyt dużo miejsca. Grzechem pierwotnym większości owych historiografów była nieznamość języka polskiego i polskiego dorobku naukowego w dziedzinie historii, skutkiem czego musieli oni posługiwać się niepolskim materiałem informacyjnym, nie zawsze ścisłym i bezstronnym.

Z polskich autorów, którzy w okresie pierwszej wojny światowej próbowali zainteresować opinię anglosaską przeszłością swego kraju należy wymienić E. H. Lewińskiego-Corvin oraz Władysława Konopczyńskiego, dziś już nestora historyków polskich. Pierwszy z nich wydał w roku 1917 w N. Yorku dość obszerny, popularnie napisany zarys dziejów Polski, obficie ilustrowany i doprowadzony do wybuchu pierwszej wojny światowej, przeznaczony głównie dla czytelników amerykańskich. Praca ta, trafnie dopasowana do ich umysłowości, niewątpliwie spełniła swoje zadanie. Zarys prof. Konopczyńskiego, opracowany na zamówienie Komitetu Redakcyjnego Encyklopedii Polskiej w Genewie i przełożony na język angielski przez F. Beneta, posiada wszystkie zalety pisarskie i naukowe tego autora. Doprowadzony do wybuchu pierwszej wojny światowej — nie wypowiada żadnych dezyderatów co do przyszłości Polski (20).

5

Z okresu niepodległości mamy do zanotowania jedną cenną pozy-

cję; jest nią opracowanie przeszłości Polski, napisane przez wybitnego polskiego anglistę, B. Dyboskiego. Jest to zwięzły obraz naszych dziejów, dostosowany do umysłowości angielskiej, dobrze autorowi znajomej, ze szczególnym uwzględnieniem roli, jaką Polska odegrała w Europie środkowowschodniej. (21).

Druga wojna światowa spowodowała nową falę zainteresowań Polską i jej przeszłością. Pojawiły się trzy dalsze wydania (przerobione odpowiednio) historii Slocombe'a i jedno Dyboskiego oraz nowe opracowanie, napisane przez oficera wywiadu angielskiego, B. Newmana. (22). W roku 1942, staraniem Moniki Gardner, znanej propagatorki sprawy polskiej, został wydany przekład popularnej historii Polski, napisany przed kilkanaście laty po francusku przez prof. O. Haleckiego. (23). Również i nasze ministerstwo Informacji i Dokumentacji w Londynie zdobyło się na wydanie niewielkiej książeczki o przeszłości Polski, napisanej przez O. Górkę. (24).

Jak widzimy z powyższego przeglądu — historia „historii Polski po angielsku” jest dość dawna i

ma sporo ciekawie zapisanych kart. Trud opisaną naszą przeszłość podejmowało wielu autorów, nie zawsze do tego przygotowanych należycie, a dość często z powodów zupełnie obcych zasadom naukowego poznania. Ich grzechem pierworodnym (z małymi wyjątkami) była całkowita nieznajomość języka polskiego i polskiej historiografii. Toteż obraz naszej przeszłości, który wyszedł spod ich pióra, ma wszystkie cechy daltonizmu. Historycy-emigranci, piszący po angielsku o naszych dziejach w XIX wieku też się w niczym nie przyczynili do pogłębienia ich znajomości.

Józef Jasnowski

(1) „The Cambridge History of Poland. From the Origins to Sobieski (to 1696)” Edited by the late W. F. Reddaway, J.H. Penson, O. Halecki, the late R. Dyboski. Cambridge, 1950. At the University Press, str. XIV, 607, 14 ilustracji, 2 mapy. Cena 42 sh.

(2) „The History of Poland in several Letters to Persons of Quality, giving an Account of the Ancient and Present State of that Kingdom

by Bernard Connor, M.D. London, 1698.” Wynikiem zainteresowania się Polską w tym czasie jest również anonimowa broszura wydana w roku 1697 p.f. „The Ancient and Present State of Poland” zawiera zwięzły zarys historii Polski, opis jej ustroju oraz przebieg elekcji Augusta II.

(3) „The History of Poland from its Origin as a Nation to the Commencement of the year 1795. To which is prefixed an accurate Account of the Geography and Government of that Country and the Customs and Manners of its Inhabitants (by S. Jones)”, London, 1795.

(4) „The History of Poland in one volume” London 1831; drugie wydanie wyszło w r. 1847.

(5) „The History of Poland from the earliest Period to the present Time. With a Narrative of the recent Events obtained from a Polish Patriot Nobleman”. London, 1831 (dwa wydania). Trzecie wydanie wyszło w roku 1845 w N. Yorku.

(6) Robin Carver „Stories about Poland”. Do roku 1835 były aż cztery wydania. Mrs. Markham (Eliza-

beth Penrose) „Historical Conversation for Young People” (Poland and Malta). London 1836. Julia Corner „The History of Poland and Russia... Adapted for Youth, School and Families” London 1841.

(7) N. F. Zaba wydał „Two Lectures on the History of Poland” London, 1831 i „The Principal Features of the History and Literature of Poland” London, 1856.

(8) „The History of Poland” by J. B. Ostrowski. London 1841.

(9) J. F. Gomoszyński „A Course of the Lectures”, London 1843; G. M.B.L. Szadurski „An Epitome of History of Poland”, Glasgow 1842; L. F. Suchorzewski „The History of Poland and Russia”, London (1855); Count de Brody Zabrocki „An Epitome of Poland” (bez daty).

(10) W. Krasinski „Poland, its History, Constitution, Lectures, Manners, Customs, etc. London 1855 (doprowadzone do roku 1632).

(11) K. Wolski „Poland” London 1883.

(12) W. R. Morfill „Poland” London 1893. Dalsze wydania wyszły w latach 1900, 1902, 1923.

(13) „Poland” by W. A. Phillips London 1915.

(14) A. S. Rappoport „A short History of Poland” London 1915.

(15) G. Stocombe „Poland” London 1916 (Dalsze wydania, z uzupełnieniami: 1939, 1940, 1941.).

(16) J. H. Harley „Poland, past and present” London 1917.

(17) F. E. Whitton „A History of Poland” London 1917.

(18) J. S. Orris „A brief History of Poland” London 1919.

(19) Peace Handbooks” vol. VIII, nry 43, 44, 45, 46.

(20) E. H. Lewiński — Corvin „The Political History of Poland” N. York, 1917; W. Konopczyński „A Brief outline of Polish History” Genewa, 1919.

(21) B. Dyboski „Outlines of Polish History” London 1925.

(22) B. Newman „The Story of Poland” London 1940.

(23) O. Halecki „A History of Poland” London 1942.

(24) O. Górka „Outline of Polish History” London 1942.

STANISŁAW STROŃSKI

NOWE KSIĄŻKI

Z NASZEGO WCZORAJ

Z WYKLE dla powieściopisarza żywiołem jest twórczość, bodźcem jest pęd wątek, celem jest utwór, którego wątek i wątki znajdują w sobie i dokoła. Inaczej powstała powieść Jędrzeja Giertycha*, pisarza politycznego ze skłonnościami do podbudówki naukowej, czasem luźnej i doraźnej a czasem zwartej i głębokiej, dla którego żywiołem jest przebieg zdarzeń zbiorowych domowych i postronnych, podniętą chęć wypowiedzenia swoich na nie poglądów, celem naprawa Rzeczypospolitej. Napęcały wątek, a raczej kłębek rozlicznych wątków, prężny wrażeniami, spostrzeżeniami, poglądami, sądami, ubrał on w szatę powieści, tkanką na osnowie różnego tworzywa, ale zbyt suto przetykaną rzutami i wzorami powieściowymi, by nazwać ją tylko niby-powieścią. I to by jej zresztą nie uchybiło, bo to nie pierwszą, w wypowiedzeniu naszym od powieści Krasickiego o przypadkach Mikolaja Doświadczyńskiego i o Panu Podstolim, a wcześniej u obcych.

Nie brzmi zresztą zwindniczo sama już niepowieściowa nazwa utworu „Polska między wojnami” podobna np. do Kraszewskiego „Polski w czasie trzech rozbiorów”, która jest świetnym zbiorem szkiców i obrazów.

Jak niepowieściowa jest nazwa i jak wątek nie jest czysto powieściowy, tak też, mimo wcale mocnej budowy powieściowej utworu, ujęcie pisarskie bywa często niepowieściowe.

Oto np., gdy Lipiński przywiózł Paskę na obiad w boczną ulicę Wierzbowej (czyli do Krzywińskiego na Trębackiej), kazał podać:

„...starke do zakąski, oraz wina wybrał w najlepszym gatunku...”

Wina w najlepszym gatunku to jest określenie sklepowo-kupieckie, które nie znaczy nic, a w każdym razie znacznie mniej niż mówi. Powieść lubi inaczej: Więc po białym Vouvray czy Chablis, Lipiński, który był z frankistów i przylgął do kół pochodzenia żydowskiego, wybiera na czerwone oczywiście Châteauneuf-du-Pape, dla samego już papieża w nazwie, nie wiedząc może nawet, że winnica należała do barona Rothschilda.

Albo np. Pasek, pisząc do panienki po pierwszym spotkaniu nad morzem, gdy się rozjechali, ona do rodziców do Lwowa a on do Warszawy, układa treść kartki na brudno i potem na czysto, tak by:

„...zawierała między wierszami wyznanie miłosne. Udało mu się to wyśmienicie. Treść kartki była małym arcydziełem...”

Więc „skoro się tak udało, trzeba ją podać dostojnie zamiast wychwalać głośno...”

Czasem znowuż bywa zbyt... powieściowo, jak w Łowiczu ów portret, który:

„...przedstawiał męzczyznę o su-

miastym wąsie w mundurze majora piechoty liniowej z roku 1831-go.”

Mówił mi Antoni Bogusławski, który się na tym rozumie, że właśnie w piechocie wtedy oficerowie z przepisu golili zarost.

Rzadsze lub w ogóle rzadkie, są niedokładności, częstsze, a nawet w ogóle częste, są ujęcia niepowieściowe, lecz — jak starałem się wskazać tymi przykładami — jedno i drugie raczej nierażące lecz takie, których trzeba się doszukiwać.

Powieściową budowę utworu i powieściową jego szatę uwydatnia i ożywia siatka wątków miłosnych. Ba, tu i ówdzie, ognikiem zapłonie zmysłowość. Pocziwa jakaś i ujmująca niedarna. Ten tej między usła pocałunkiem lub też, ale to już tylko w marzeniu, wpija się w usta; ta temu siada całym ciężarem na kolanach; temu po tej obsuwa się ręka. W średniowiecznym piśmiennictwie francuskim były utwory o zakroju pobożnym (miracles), w których po upadkach następował cud pokuty, przy czym niektórzy pisarze, łobuzy, więcej zapału kładli w opowiadanie jak grzeszono, niż w przedstawienie jak pokutowano. Tu, odwrotnie, haracz przelotnie złożony pokusie, jest odskocznią do otrząśnięcia się z niej i zwycięstwa woli.

Dlaczego jednak pan Stach całuje pannę Tecię naprzód w ucho, potem w policzek, potem w usta, ...w kino? Za moich czasów, a chyba i do dziś, tak nie było. Nic już nie wiem, bo może to tylko nie było jeszcze wtedy lub prawie nie było... kina.

— Panie dziecku — rzekł karczmarz, słysząc odeń, sześćdziesiąt lat temu na wsi małopolskiej, że taka sprawa jak łapówek i sprzenie-



Jędrzej Giertych

wierzeń w budowie Kanału Panamskiego u nas byłaby niemożliwa — ludziów by się znalazło, ale kanałów nie ma.

Gdyby, przymknawszy oczy, przejrzeć ten obraz na wskroś poprzez szatę słowa i ciało wątku powieściowego, ujrzy się jej kregosłup z odgałęzzeniami kośćca: sprawę bytu i dobrobytu Polski i wyrastające z niej sprawy naszego życia zbiorowego. Naród i Państwo, przeszłość dziejowa, warstwy społeczne, zasługi i nadzieje, wiara i nasze chrześcijaństwo, sprawa żydowska, twórczość polska w słowie i w sztuce, oświata, rolnictwo, przemysł, wzloty i kłopoty, zalety i wady polskie, władza a prawo, samowola i sobkostwo zamachu majowego oraz odpowiedzialność przewodcy, wpływy obce itd., itd. Poglądy, zwykłe słuszne, bywają czasem uproszczone. Nie ma zaciekłości. Góruje radość z każdej dobrej pracy i z każdego dobrego wyniku.

Powie ktoś: — Wszystkie te rozprawki o za-

gadnieniach życia polskiego, niektórych odwiecznych, a przeważnie z dwudziestolecia między wojnami, lepiej było wyłączyć z powieści w osobną książkę czy książeczkę, która by była zbiorkiem szkiców lub i luźnych myśli z dziedziny naszej cywilizacji i naszego współczesnego spłotu spraw społeczno-gospodarczo - politycznych.

Czy ja wiem...

Ostatecznie bowiem ludzie w powieści nie muszą koło zjawisk życia przechodzić i obracać się wśród nich bezmyślnie i milcząco. Niech rozmyślają sami w sobie i niech rozmawiają z innymi. Byle, skoro to powieść, przygodnie, mimochodem, przelotnie, bez gadulstwa, lekko, zajmująco. A tak przeważnie jest w utworze Giertycha i tylko dlatego, że tych, powiedzmy, wstawek jest bez liku, przesłaniają one obraz powieściowy w zwykłym pojęciu.

Zresztą, w rozmyślniach i rozmowach powieściowych, w głowach i w słowach osób i postaci urojonych lub w zasadzie urojonych, poglądy te zjawiają się niejako mniej odpowiedzialnie i mniej obowiązująco, choć na ogół widać, iż nazbyt wyraźnie, jak na ujęcie powieściowe, gdzie i co pisarz mówi przez kogoś od siebie. W zbiorze szkiców podbudówka naukowa musiałaby być znacznie mocniejsza. Tutaj jest to, lub powinno być, raczej zwracanie uwagi na zjawiska i zagadnienia, niż wypowiedzianie się stanowcze i ucinające... dalsze o nich myślenie i rozmowę.

Najcenniejszym wkładem w książkę, jej trwałym dorobkiem i jej urokiem, są opisy krajoznawstwa, nawet w zwarciu miejskim, a zwłaszcza w swobodnej i rozległej przestrzeni. Tu Giertych nie jest ani suchy, co mu się zdarza w rozmowach, ani nie dość przenikliwy, jak bywa

w szkicowaniu postaci ludzkich. Patrzą bardzo a bardzo spostrzegawczo i to co widzi wyraża doskonale.

Są migawkowe zdjęcia różnych kątek Warszawy, zwłaszcza koło Starego Miasta, ku Wiśle, ku Krakowskiemu Przedmieściu i Ogrodowi Saskiemu. Jest krajoznawstwo nad Dniestrem przy ujściu Zbrucza. Jest Gdańsk i Gdynia, Hel, i Jastarnia. Jest Łowicz. A nade wszystko jest Polesie, z rzekami, moczarami, błotami, z naszą flotyllą wojenną, z Pińskiem i jego kościołami, z pałacami, dworakami, chatami, ze swą ludnością osobliwą, malowniczo i przekonująco, a tak odkrywczo, że po przeczytaniu Giertycha ogląda się liczne zdjęcia tamtejsze n.p. w książce St. Kulczyńskiego o torfowiskach polskich, wydane dawniej po polsku a teraz po angielsku, z nowym zajęciem i przejęciem.

Nie wystarczyłaby tu sama chęć przeciwdziałania temu, że cudze chwalić, swego nie znacie. Wcale nie, To piękno znalazło chłonne odczucie i szczery wyraz w książce Giertycha.

Rad jestem, że, musząc o języku pisarskim, a zwłaszcza tu powieściopisarskim, Giertycha rzecz to i owo ujemnie, mogą też powiedzieć dużo dobrego.

Usterki są drobne. Ale bywają. A nie byłoby dobrze, gdybyśmy się przyczyniali do niezwracania na to uwagi w czytaniu.

Grześ, uniósłszy się w samnasam z panią Olą i na czas się opanowawszy, pisze nazajutrz:

„Pragnę poinformować Panią, że były to pierwsze pocałunki w moim życiu.”

O tym nie można informować — (wiem dobrze, bo pracowałem w informacji) — to można tylko powiedzieć.

„Gdy myślał o tym, to go to gniewało... Kiedy jej nie widział, to o niej zapomniał.”

Mickiewicz pisał (bez tego ciężkiego: to) swoje „Gdy cię nie widzę, nie wdycham, nie płaczę” i... też było dobrze lub lepiej (jak to byłoby: gniewało go to, zapomniał o niej).

Dlaczego Grześ, ciesząc się, że mały chłopak poleski tak dobrze mówi po polsku z nauki w szkole, sam mu psuje język:

„Ale z bycia macie więcej pożytku jak (zamiast: niż) z pół, co?”

Małostkowe te uwagi o takich i podobnych skazach, nie przyćmią wrażenia ogólnego, że język Giertycha jest, także w powieści, dobry, a nieraz, zwłaszcza w opisach, bogaty i giętki.

Zasługa Giertycha jest mniejsza dla piśmiennictwa polskiego, w szczególności dla nowych blasków naszej powieści, niż dla czytelnictwa polskiego. Dał książkę, którą ludzie będą czytali z zajęciem, która nasunie im myśli i rozmyślenia o różnych sprawach polskich, która im zostawi w oczach kochane obrazy. To dużo, bardzo dużo.

Stanisław Stroński

O MOBILIZACJĘ SIŁ DUCHOWYCH EUROPY

6 lutego br. odbył się w Londynie jednodniowy Kongres zwołany przez Brytyjski Międzywojny Komitet Porozumiewawczy (Religious Bodies Consultative Committee) w skład którego wchodziły katolicy, anglikanie, baptyści, metodyści, prezbiterianie, kwakrzy i żydzi. Tematem Kongresu była „Duchowa Spuścizna Europejska” (The Spiritual Inheritance of Europe), a celem przedyskutowanie deklaracji stwierdzającej wspólną wolę obrony zasadniczych założeń religijnych, filozoficznych i etycznych zagrożonych przez materializm oraz wytyczenie akcji, zmierzającej do mobilizacji duchowych sił Europy.

Kongresowi przewodniczył V. Rev. A. S. Duncan-Jones, Dean of Chichester, znany Polakom jako przewodniczący Centralnej Rady Towarzystw Angielsko-Polskich. W Prezydium zasiadali m. in. Mgr. J. Dockery, franciszkanin, Robin J. Livingstone i sekretarz Komitetu pastor R. D. Rees. Dyskusję otworzyli: Lord Layton, jako przedstawiciel Ruchu Europejskiego i Du-

chess of Atholl, przewodnicząca British League for European Freedom. Wśród uczestników Kongresu było wielu duchownych, kilku posłów, przedstawiciele sfer naukowych i prasy. Koła uchodźcze reprezentowali dr A. Torma, poseł Estonii i p. St. Grocholski, w-prez. Zjednocz. Polskiego w W. Brytanii.

Lord Layton podkreślił znaczenie Konwencji Praw Człowieka, uchwalonej przez Zgromadzenie Europejskie, którą W. Brytania ratyfikuje w lutym i nawoływał do dalszej akcji na rzecz powołania Europejskiego Trybunału, przed który poszczególni obywatele będzie mógł pozywać rządy, w imię zasady powszechnego panowania prawa i sprawiedliwości.

W dyskusji zwrócono uwagę na niebezpieczeństwo materialistycznych tendencji kapitalizmu i indyferentyzmu religijnego i ideowego, jaki od wewnątrz oślabia zachodnie demokracje. Podkreślono konieczność traktowania całej Europy jako nierozdzielnej jedności. Przedstawiciel Polaków apelował o podej-

cie czynne w obronie wartości duchowych, o tepienie apatii i bez troski Zachodu wobec dynamicznej agresji komunizmu; właściwą odpowiedzią powinno być powstanie „międzywojennego i ponadnarodowego kominformu”, organizującego front ideowej ofensywy chrześcijaństwa i demokracji. Uchodźcy mają prawo oczekiwać nie tylko pamięci o uciemiężonej połowie Europy, ale uznania i docenienia misji wygnańskich społeczności, reprezentujących w wolnym świecie narody ujarzmione przez totalizm sowiecki, oraz pomocy w staraniach o utrzymanie i rozwój ich własnego dorobku duchowego i kulturalnego, stanowiącego przeciwieństwo nierozłączną część spuścizny europejskiej. Praktyczną konsekwencją powinien być „religijny i kulturalny plan Marshalla” zapewniający uchodźcom konieczną pomoc w walce z pauperyzacją duchową i kulturalną rzesz wygnańskich i umożliwiający im aktywne współdziałanie z poczynaniami wolnych jeszcze narodów.

* Jędrzej Giertych W POLSCE MIĘDZY WOJNAMI. Londyn, 1951. Nakładem autora (16, Belmont Road, London, N. 15), 3 tomy.

NOWE FILMY

ŻYCIE ZACZYNA SIĘ JUTRO?

„Life Begins Tomorrow“ (Cameo-Politechnic) — film francuski.

„Rawhide“ (Leicester Sq. Theatre) — 20-th Century Fox (ameryk.).

Partenogeneza, psychoanaliza, rakiety i odrzutowce, hodowla syntetycznych roślin, przedłużanie życia, transplantacja organów, szklane domy, egzystencjalizm i nawadnianie pustyni, sztuka nowoczesna, biologia, obozy koncentracyjne i krematoria — a ponad tym, wśród tego koszmarny grzyb dymów bomby atomowej. To wszystko i znacznie więcej mamy w filmie francuskim pt. „Life Begins Tomorrow“, wyreżyserowanym przez p. Verde i ściągającym tłumy publiczności dzięki brytyjskiej cenzurze, która zaliczyła go do kategorii „X“, zakazanej stanowczo dla młodzieży poniżej lat 16-tu.

Młody handlowiec (znany aktor francuski Jean Pierre Aumont) przyjeżdża do Paryża, aby zwiedzić zabytki przeszłości. Z miejsca wpada w ręce dziennikarza i popularyzatora wiedzy, który pokazuje mu lokal egzystencjalistów i zachęca do odwiedzenia J. P. Sartre'a. Potem kolejno widzimy p. Aumont rozmawiającego ze sławami dzisiejszej Francji: z psychiatrą, biologiem, znanym malarzem, wreszcie z architektem-urbanistą. Oryginalność, wyjątkowość filmu polega na tym, że Sartre'a, Jean Rostanda, Picassa, Le Corbusiera i A. Gide'a pokazano w oryginalności. Więcej nawet: reżyser najwidoczniej starał się pouczać sławnych ludzi jak mają zagrać siebie samych. Sartre — stary autokremlarz — dał sobie radę z kamerą, nie przeląkł się jej J. Rostand, ale już np. Le Corbusier czuje się nie pewnie pod obstrzałem operatorów, co dodaje wdzięku filmowi i postaci wielkiego architekta.

Jak widać z powyższego, film jest ciekawy choćby jako nowość. Dokumentacja, popularyzacja wiedzy z całym aparatem tysięcy migawek z fabryk, laboratoriów, spod mikroskopu, powiązanych nikielką akcją, włożonych w ramy normalnego, pełnometrażowego obrazu. Zakresem, rozmachem dzieło to przekracza wszystkie osiągnięcia w tej dziedzinie. A zatem eksperyment — interesujący i bardzo francuski. Czy udany? Stanowczo nie.

Jeśli zamiarem twórców było przekonanie ludzkości dumnym zapewnieniem francuskich intelektualistów, że życie zaczyna się jutro — to chybił na całej linii. Mimo wizji nawodnionej Sahary, szumiącej łanami zboża, mimo helikopterów i dyktafonów, w których się kocha Gide, nie zdołano wzbudzić w widzu uczucia odprężenia, nadziei. Przeciwnie — świat widziany oczyma filozofa rozpacz, biologia zapowiadającego sztuczne zapłodnienie a może nawet produkowanie dzieci bez udziału kobiety i stworzenie rasy nadludzi — ten świat zbyt jaskrawo przypomina potworne koszmary A. Huxley'a o seryjnych bliźniakach Alfa, Beta i Gamma. Jest to świat sterylizowa-

ny, nieludzki — świat bez duszy i Boga.

Słowo Bóg nie pada z ust żadnego z uczonych, czy techników, występujących w filmie. Nie wymienia go, rzecz jasna, filozof-ateista Sartre, ani komunizujący malarz Picasso. Ale nie to jest ważne: nie jest to film o teologach i nie musi mieć nastroju religijnego. Chodzi mi o co innego. Wprawdzie nie ma w filmie wyraźnej propagandy komunistycznej, ale atmosfera filozofii materialistycznej przenika każdą kławkę taśmy. Jest to dzieło pychy ludzkiej, kłamliwy bełkot zbudowanych aniołów.

Kłamliwy bełkot — to ciężki, najcięższy chyba zarzut, bo artystycznej i etycznej natury. Nie trudno go udowodnić. Czymże są te nałożone zdjęcia z wszystkich możliwych dziedzin nauki, sztuki, techniki i filozofii (raczej pseudofilozofii) — jeśli nie bełkotaniem, ordynarnym upraszczaniem, demagogią rzekomej naukowości? Symplifikacje, skróty, skoki myśli poprzez ogniwo logicznego łańcucha, stwarzanie sugestii osiągnięć i mglistych przepowiedni na zasadzie niepełnych, często kwestyjnych przesłanek — to metoda nie naukowa, po prostu kłamstwo, tym szkodliwsze, że podlane żargonem ustroj terminologii i ubrane w staromodną turliniurę XIX-wiecznego mitu o postępie. (Nawiasowo dodam, że część psychoanalizy filmu wyszła żenująco nieudolnie i blado — poprzestano na Freudzie, późniejsze i wartościowsze osiągnięcia z tej dziedziny ordynarnie przemilczano).

A zatem film zawiodł także jako popularyzacja wiedzy. Stała się tylko dokumentacja osób i nastrojów: parę starych twarzy (których

jakos nie zdołano odmłodzić mimo „optymizmu“ Rostanda), trochę kacetowskiej makabry, trochę słoucha, schwytanego przez Corbusiera do nowoczesnego mieszkania. W sumie film kłamie nawet swoim tytułem. „Życie zaczyna się jutro?“ Nadzieja? Nie, nie ma tu żadnej nadziei. Dla człowieka religijnego jest to film smutny, przynębiający; dla myślącego laika czy ateusza musi być straszny, po prostu rozpaczliwy.

Odnoszę wrażenie, że „Life Begins Tomorrow“ zrobiono także, a może przede wszystkim po to, by pokazać jak to Francja przewodzi światu pod względem intelektualnym. Jeśli taki był zamiar — to skłamano po raz trzeci: Francja bez Boga, bez metafizycznego oddechu, Francja pyszałkowatych racjonalistów — to nie jest, na szczęście, cała Francja, pełna Francja, a w dodatku — jakakolwiek by była — dzisiejsza Francja nie tylko nie przewodzi innym, ale nie znalazła nawet drogi dla siebie.

Rawhide to nazwa odosobnionej stacji dylżansów na linii pomiędzy St. Louis i San Francisco. Tu zlokalizowano akcję filmu pod takimże tytułem z doskonałą Susan Hayward i Tyrone Power'em w rolach głównych. Jest to jeden z najlepszych „Westernów“ jakie oglądałem dotychczas. Mimo ograniczenia akcji do prymitywnych budynków zajazdu i najbliższego górskiego otoczenia, scenarzyście i reżyserowi (D. Nichols i H. Hathaway) udało się nie tylko przepoić film ruchem, stworzyć pełne napięcie i niebanalne sytuacje, ale — co już jest wielką rzadkością w tym gatunku — zindywidualizować postaci zbiegłych z więzienia opryszków, którzy opanowują stację z zamiarem dokonania napadu na spodziewany transport złota. Doskonali film rozrywkowy na pograniczu sztuki — dzięki wymienionym zaletom skrypty, reżyserii i gry aktorskiej. (sp)

Z ZAMIERZEŃ TEATRU IM. J. SŁOWACKIEGO

Dr L. Kielanowski zechciał podzielić się następującymi informacjami o najbliższych zamierzeniach Teatru Polskiego im. J. Słowackiego, którego jest kierownikiem. Jak wiadomo, teatr ten wystąpił ostatnio z dwiema sztukami osnutymi na tematyce krajowej, jednej Budzyskiego „Noc przemieniała“ i drugiej Chudzyńskiego „Ul. Podwale 7“. Obecnie zamierza on zrobić przerwę w wystawianiu sztuk współczesnych autorów polskich i po wystawieniu „Lekkomyślny siostry“ Wł. Perzyskiego przystąpił do przygotowania sztuki znanego pisarza angielskiego J. Priestleya p.t. „Pan Inspektor przyjeżdża“, która była grana również w kraju po wojnie. Na prowincji już wystawiono wiedeńską komedię muzyczną Langfeldera i Tischa, z muzyką J. Märkera i R. Franka w opracowaniu W. Raduskiego p.t. „Czemu kłamię, kochanie?“ w przekładzie Galszkowej i Krzemińskiego, graną w Krakowie przed wojną i znaną w Warszawie p.t. „Dziewczyna i hipopotam“.

Wystawienie sztuki młodego poety Z. Jabłońskiego p.t. „Zanim umrzesz o trzeciej“, będącej próbą czystego teatru, stojącej poza bieżącą problematyką, musi być odroczone ze względów organizacyjnych, ale prawdopodobnie niezadługo będzie można ją ujrzeć na scenie. W opracowaniu jest również nowa sztuka Napoleona Sądka p.t. „Markietan“. Przewidziana poprzednio w repertuarze trzecia z rzędu sztuka Jerzego Laskowskiego p.t. „Ścisłe tajne“, osnuta na raporcie z zakładow atomowych, więc bardzo aktualna i sensacyjna, ze względu na obsadonych nie może być na razie wystawiona w najbliższej ko-

Razem z ZASP Teatr im. Słowackiego będzie nadal prowadzić akcję wystawiania tzw. sztuk czytanych. Doskonałe wyniki osiągnięto czytaniem „Przeziębaczki“ Żeromskiego, a dzięki dużemu zainteresowaniu dwukrotnie już czytano sztukę Z. Jabłońskiego p.t. „Dziwna zbrodnia Marka Pokory“. Przewidziane jest czytanie dalszych sztuk, których teatr z różnych względów nie był-

FESTIWAL OŚMIU NARODÓW ZZA „ŻELAZNEJ KURTyny“

Choć afisze i program wydrukowano po angielsku, nie usłyszałem z estrady języka tubylców, prócz krótkiego wprowadzenia, wypowiedzianego przez posła J. Duncana. Choć palto moje w szani przyjęli grzecznie i zaspali Angliści, a pedantyczna służba zakazała rozpoczęcia spektaklu przed usunięciem z widowni osób nie posiadających miejsc siedzących (a takich było wielu) — nic nie zdołało wypłoszyć z Chelsea Town Hall'u prawdziwie europejskiego nastroju, jaki panował tam w czasie, zorganizowanego z inicjatywą Zjednoczenia Polek, Festiwalu tańców, muzyki i pieśni ośmiu narodów zza żelaznej kurtyny. Nie mam nawet pretensji do komitetu porozumiewawczego za pewne niedociągnięcia organizacyjne — to rozkoszne zamieszanie było też częścią aury, którą wdychałem z prawdziwą przyjemnością ulegając złudzeniu, że czardziejski dywan przeniósł mnie nagle do Pragi, Belgradu czy Budapesztu, a może — kto wie — poprzez czas i przestrzeń do Warszawy, przyszłej stolicy federacji czy unii narodów wschodnio i środkowo-europejskich.

Wydaje mi się, że wspaniały Festiwal, na marginesie którego kreślię uwagi, może być traktowany jako jeden z dowodów, że sztuka, że kultura wyprzedza dziś politykę w poszukiwaniu jedności, w całkowaniu elementów nadających się do syntezy — jednym słowem w śmiałym wyskakiwaniu w przyszłość z odskoczni pozytywnych nastrojów sympatii, wzajemnego zrozumienia, współpracy. Coś podobnego obserwujemy na terenie literatury. Oto prasa doniosła właśnie o powstaniu w Londynie Komitetu wolnych pisarzy krajów tegoż regionu („Exiled Writers Com-

mittee“) z rozszerzeniem zasięgu współdziałania także na Bułgarów i Ukraińców. Ciekawe jak na te zjawiska zareagują politycy, ciągle wyzywający się w walkach, sporach, stale płynący na fali nienawiści lub co najmniej niechęci i to zarówno w łonie grup narodowych, jak i stosunkach międzygrupowych.

Ale wróćmy do Festiwalu. Można by zaryzykować to i owo temu czy owemu numerowi bogatego programu. Jedni śpiewali lepiej, drudzy tańczyli gorzej. Nie o to chodzi. Całość wykazywała wysoką jakość produkcji artystycznych i dobry poziom wykonania tak przez zawodowców, jak i przez amatorów.

Każda grupa narodowa starała się pokazać najlepsze, najbardziej reprezentatywne dzieła w ramach możliwości ich wykonania na obczyźnie. Nie podejmuję się fachowo oceniać utworów wokalnych i muzycznych — nie mam do tego kwalifikacji. Mogę powiedzieć tylko, że pieśni wykonane przez chóry i solistów łotewskich, czechosłowackich, estońskich, węgierskich, jugosłowiańskich i litewskich, muzyka skrzypcowa Rumunów, fortepianowa i instrumentalna — że cały ten materiał wokalny i muzyczny przemówił do mnie silnie jako coś świeżego, ciekawego, a zarazem bliskiego, niemal rodzinnego.

Najsilniej, najdobitniej wypowiedział się charakter narodowy poszczególnych zespołów w tańcach. Tu Polacy okazali się bardzo mocni: Polonez, którym otworzono Festiwal oraz wiazanka Krakowiaka, kujawiaka i oberka w opracowaniu p. Olgi Żeromskiej i w świetnym wykonaniu zespołu tanecznego polskiej YMCA pięknie pokazały i dalszym cudzoziemcom bogactwo naszej kultury i folkloru, rozmach, sentyment i fantazję. Kostiumy polskich tancerzy były gustowne i fachowo dobrane, lecz rzucano się w oczy ich duże zużycie, zwłaszcza w zestawieniu ze świeżymi i gatunkowo doskonałymi strojami innych narodów. (Litewskie b. piękne!) Wydaje się, że zespół polski, który już niejednokrotnie zaszczytnie reprezentował polski taniec narodowy wśród obcych, zasługuje na własne (a nie zbierane z wszystkich możliwych wypożyczalni) kostiumy, odpowiadające roli artystycznej i propagandowej, którą spełniał i będzie pełnił nadal. Społeczeństwo emigracyjne powinno i może pomóc zespołowi w tej sprawie. Podobno Skarb Narodowy ma fundusz na cele tego rodzaju.

Pieśń polską reprezentowała na Festiwalu b. primadonna Opery Warszawskiej p. Lucyna Szczepańska.

Uroczę tańce ludowe pokazali Litwini, a raczej Litwinki. Pełne wdzięku, doskonale wyreżyserowane i odtańczone stylizowane tańce Sustas (z kapelusznami) i Kepurine (z udziałem jednego mężczyzny) zebrały burzę zasłużonych oklasków. Widziałem je po raz pierwszy i odczułem jak rewelację, jak rozkosz dla oka i ucha. Na trzecim miejscu w sztuce tanecznej postawiłbym Węgrów — w tym oryginalnych, że tańczących bez muzyki, przy akompaniamencie chóru.

Nie sposób tu wliczać nazwisk kompozytorów, artystów i amatorów, choć wszyscy zasługują na wdzięczność publiczności — nie tylko za wysoki poziom swych występów, ale także za wykazane go ducha współpracy.

Pro domo nostrą dodam tylko, że nasze sfery polityczne, literackie i dziennikarskie zlekceważyły Festiwal. Prócz gen. Bora-Komorowskiego nie zauważyłem na sali ani jednego polskiego generała lub pułkownika, nie mówiąc o politykach i dygnitarzach rządowych. Widocznie kłopoty w domkach z ogródkami i na kanapach partyjnych są dla nich ważniejsze od kultury. A szkoda. Była to piękna okazja do zapoznania się z dużym zakresem życia duchowego naszych sąsiadów i ewentualnych partnerów.

Z gości angielskich, prócz posła J. Duncana, zauważyłem na sali księżnę Atholl, Lady Bonham-Carter, Lady Elwes, kilku przedstawicieli prasy brytyjskiej oraz fotografów, którzy dokonali wielu zdjęć, specjalnie interesując się zespołem tanecznym polskim.

Jak słyszę, Festiwal w Chelsea Town Hall nie wyczerpuje programu, zakreślonego sobie przez komitet porozumiewawczy organizacji kobiecych narodów zza żelaznej kurtyny. Istnieją zamiary jeszcze szerszego zbiorowego wystąpienia w ramach Festiwalu Brytyjskiego.

St. Pałeczki

TAJEMNICZY CLAUSS

Dr Peter Kleist, wysoki urzędnik niemiecki za reżymu hitlerowskiego, ogłosił swe wspomnienia z okresu wojny pt. „Zwischen Hitler und Stalin“ (Bonn, Athenaeum Verlag). Zawierają one szczególnie dużo ciekawego materiału na temat stosunków rosyjsko-niemieckich w latach 1939 — 1945.

Część pierwsza książki poświęcona jest okresowi zbliżenia niemiecko-rosyjskiego w latach 1939-1941, zawartego kosztem Polski; część druga dotyczy okupacji obszarów sowieckich przez Niemców w latach 1941 — 1945. Najsensacyjniejsza jest część trzecia zawierająca szereg danych na temat sowieckich usiłowań zawarcia odrębnego pokoju z Niemcami, powtarzających się jakoby kilkakrotnie od r. 1942.

Kleist opisuje najpierw swe spotkanie w Szwecji, w dniu 14 grudnia 1942 r., z niejakim Edgarem Claussem, który był w kontakcie z tamtejszą ambasadą sowiecką i który zapewniał Kleista, że Rosjanie go będą, zawręcz pokój z Niemcami choćby w ciągu tygodnia, jeśli Niemcy zgodzą się na granice ustalone między obu państwami w końcu września 1939 r.

Następną ofertę, również w Szwecji i również za pośrednictwem Clausa, Kleist otrzymał w

czerwcu 1943 r. Oferta trzecia złożona została w parę miesięcy potem, przy czym tym razem Clauss wspominał o granicy niemiecko-rosyjskiej z r. 1914. Hitler odrzucił od razu wszystkie te trzy propozycje.

Jak się na prawdę ta cała sprawa przedstawiała, niepodobna dziś stwierdzić, gdyż — jak stwierdza Kleist — Clauss zmarł nagle dnia 1 kwietnia 1946 r., akurat tego dnia, w którym miał wyjechać ze Sztokholmu do Niemiec, gdzie chcieli go wy badać Brytyjczycy. Wszystko to ma posmaczek nieco podejrzany i wzbudza wątpliwość w jakiej mierze Clauss działał istotnie z ramienia Moskwy.

Wedle Kleista Clauss miał być o zamierzeniach sowieckich poinformowany bardzo dokładnie. W czasie swego drugiego spotkania z Kleistem podkreślał on wagę, jaką Stalin przywiązuje do spraw azjatyckich. „Rozstrzygnięcia na najbliższych lat sto — mówił Clauss — zapadną w Chinach... Władca Kremla dla Chin właśnie pragnie stać w gotowości bojowej i oszczędzać swe siły“.

W swym opisie niemieckich rządów okupacyjnych na sowieckiej Ukrainie, Białorusi i w krajach bałtyckich, Kleist, który był wtedy wysokim urzędnikiem „Ostmini-

sterium“ Rosenberga, ostro krytykuje ówczesnych hitlerowskich wielkorożców tych krajów, w szczególności Kocha i Kubego. Kleist chwali się, że wznosił kiedyś sarkastyczny toast na cześć „narodowo-socjalistycznego typu człowieka, stanowiącego udaną mieszaninę magnata polskiego, komisarza G. P. U. i zachodniego pioniera przemysłu“.

Recenzent „Times Literary Supplement“ zaznacza jednak, że zaraz potem traci się zaufanie do autora książki, gdy sugeruje on, że ostatecznie Niemcy zachowywali się w Rosji ani gorzej ani lepiej niż alianci zachodni w okupowanych przez siebie Niemczech. „Sugestia taka jest bezwzględna“ — zauważa recenzent i dodaje, że Kleist przemilcza zupełnie masowe egzekucje Żydów i „Słowian wschodnich“.

Poświadczy „tendecyjność“, Kleista, recenzent zaznacza, że pierwsza część książki, opisująca współdziałanie niemiecko-sowieckie w latach 1939 — 1941, niewiele przynosi nowego poza pewnymi twierdzeniami dzisiejszej propagandy niemieckiej. Kleist nastaje np. na pominięcie jakoby w Polskiej Białej Księdze pewnego zdania z instrukcji Becka do amb. Lipskiego, wydanej 31 sierpnia 1939 r.

ZAPISKI LONDYŃSKIE

Brytyjskie wydarzenia kulturalne
ostatniego okresu.

KSIĄŻKI ANGIELSKIE SĄ NADAL TANIE

Znany publicysta i krytyk literacki Ivor Brown stwierdza w „Observerze”, że książki w Anglii podrożały od czasów przedwojennych stosunkowo znacznie mniej niż inne rzeczy. Mimo to na ich rękoma drogość narzekają ludzie, którzy bez szermowania pięć 3 sh. 6 d. za dwadzieścia kiepskich papierosów zamiast przedwojennego szylinga, lub 35 sh. zamiast 12 sh. 6 d. za butelkę whisky.

Koszta produkcji książek podniosły się bardzo znacznie. Cena papieru książkowego jest czterokrotnie wyższa niż w r. 1939; ostatnia podwyżka sprzed dwóch miesięcy wynosiła 30 procent. Może wkrótce przyjdzie nowa podwyżka; poza tym papier w ogóle trudno jest dostać, zwłaszcza jeśli chodzi o drobnych wydawców, którzy nie mogą robić wielkich zamówień. Koszta druku wzrosły od r. 1939 o 110% — i zdaje się nie koniec jeszcze na tym. Oprawianie książek jest trzy i półkrotnie droższe niż przed wojną; koszta jego wzrosły od ubiegłej jesieni o 40%.

Zwyczaj cen książek jest z tym wszystkim zupełnie niewspółmierny. Książka, która w r. 1939 kosztowała 7 sh. 6 d., dziś kosztuje 9 sh. 6 d., lub najwyżej 10 sh. 6 d. W wyższej mierze podrożały niektóre wydawnictwa seryjne, np. „Penguin” i „Pelican” z 9 d. lub 1 sh. na 1 sh. 6 d., tomiki „Everyman” z 3 sh. na 4 sh. 6 d., ale trzeba pamiętać, że są to przeważnie duże książki, które były zupełnie nieproporcjonalnie tanie.

Na stosunkowo niskie ceny książek wpływa fakt, że nie są one obciążone podatkiem od kupna (Purchase Tax), oraz że dotąd jeszcze książki drukowane są na papierze ciemniejszym i drukem bardziej zgęszczonym niż w r. 1939. Mimo to wszystko — konkluduje Ivor Brown — książki stanowią dziś po prostu „a bargain” z powodu swej taniości.

WSPOMNIENIA STYPUŁKOWSKIEGO W „DAILY TELEGRAPH”

W „Daily Telegraph” z dnia 8 marca i w dniach następnym ukazał się cykl czterech artykułów Zbigniewa Stypułkowskiego, zawierających jego wspomnienia z więzienia na Łubiance i moskiewskiego procesu 16 przywódców polskiego ruchu podziemnego. Jak już donosiliśmy, wspomnienia te, w znacznie obszerniejszej postaci, ukazały się wkrótce w języku angielskim jako książka pt. „Invitation to Moscow”.

ZGON IVORA NOVELLO

Dnia 6 marca zmarł nagle w mieszkaniu swym w Londynie, na skutek skrzepu krwi, znany kompozytor operetek i rewi, reżyser i aktor Ivor Novello. Liczył lat 58.

Swą karierę muzyczną i aktorską rozpoczął mając lat 21. Sposród operetek i rewii, jakie skomponował, największy rozgłos zjednał mu „The Dancing Years”. To widowisko muzyczne miało w samym Londynie prawie tysiąc przedstawień. Novello grał jako aktor także w kilku filmach.

Był z pochodzenia Walijszczykiem. Na pogrzeb jego przybyło ok. 7.000 osób, przeważnie kobiet. Zwłoki jego spalono w krematorium w Golders Green.

SPROSTOWANIE

W nr. 10 ŻYCIA, str. 8, w notatce „Tajny agent” Conrada w transmisji radiowej”, w wierszu 8 słowo: anarchista powinno być ujęte w cudzysłowie: „anarchisty”.

Verloc, jak wiadomo, był agentem-prowokatorem, podszywanym się pod rolę anarchisty.

PO LEPKACH

FELIETON, W KTÓRYM PĘKA ŻÓŁĆ

Z dziecięcych lat pamiętam, iż największym postrachem w gospodarstwie była żółć. Od żółci zależało szczęście gastronomiczne, humor głowy comu i apetyt dzieci. Plekroć na stół kuchenny szły ryby, długo przedtem pluskały się bez troski w bańki do prania, gdyż Marysi czy Wikci stałe brakło odwagi, aby przystąpić do patroszenia, którego sztuką najwyższą było śmiały szarpnięciem wydobyć żółć — tak, aby nie pękała. Z przyjemnością się potem patrzyło na unieszkodliwionego potworka, gno-ma zmarwienia, kobolta żółci, Kusego z rybiego wnętrza.

Taka żółć miała moc psucia najlepszego smaku. Długo potem dowiedziałem się, że żółć posiadają również ludzie, choć w nieco innym celu, niż ryby. Żółć (po łacinie: colera albo cholera) zalewa ludzi nie w sposób materialny, lecz duchowy, chociaż źródło posiada w ciele. Znaczenie żółci ludzkiej jest olbrzymie (doradcam temat pracy magisterskiej z historii literatury: „Żółć w dziejach twórczości pięknej”). Przypuszczam, że kilkanaście arcydzieł literatury światowej zawdzięczamy nienaturalnie obrzęktemu woreczkowi żółciowemu (Molier). Kilka gatunków literackich piynie nie ze źródeł kasylskich, lecz z wyżej wzmiątkowanego woreczka. Należy do nich m. in. felieton.

Czyniłem nadludzkie starania, aby wielkanocne „Lepki” wyszarpnąć bez rozlania żółci. Niestety licho mnie powiodło na dyskusję o teatrze emigracyjnym. Wielkanocne „Lepki” ociekać więc będą żółcią aż do Wielkiej Soboty, kiedy się je zacnie plukają.

Książd Tadeusz Kirschke przekonuje mnie od dwu lat, że żółć jest materią niechrześcijańską i nieledwie podżukiem szatana. Dyskusja w tej sprawie o tyle trwa, że na obszerny list Kapelana sprzed roku nie odpowiedziałem dotąd. Są bowiem w człowieku siły, których ani rusz nie da się uzasadnić. Np. pociągu do czarki (nie mówcie, że to cecha zwierzęca natury — żadne bydlę wina ni piwa nie ruszy), rozkoszy plotkowania (zwięzła stronia od plotek), ostrości języka (którego też wyżej wzmiątkowane nie używają w celach konwersacji) itp. Jest jakaś sfera neutralna w ludzkiej naturze, kraj nieczyj — ani Boga ani szatana, ani cnota ani grzech ani też zwykły popęd natury — lecz jakgdyby pozostawiona na wyłączny użytek człowieka, arcyłudzka. Żółć znajduje się właśnie w tej sferze.

Oczywiście nie taka żółć, która zabija, lecz taka, która zmusza do doskonałości i pilnowania się w

działaniu, a którą od niepamiętnych czasów nazywano krytyką.

Krytyka powinna być bezlitosna. Litosc bowiem jest pojęciem etycznym, a nie esetycznym. Jeżeli szewc nie przyklepie nalezycie przyszczytki, właściciel butów się nad nim nie lituje, lecz ukazuje mu braki i to zwykle z pewną emfazą rozszawiając nieprzyszyte miejsce. Kiedy szwaczka zapomni przyszyć gdzieś guzik, natychmiast się jej z odrywczą radością mówi: „O, tu brakuje guzika”. Malarz, jeśli nieomaluje ściany, technik, jeśli zapomni srąki — nigdy się nie obraża, kiedy im to zaraz wspomnieć. Każdy majster z usmiechem wdzęcając przyszyte wytknięcia, w szuce, która ma być „koroną na prac ludzkich wieży” — rzecz dziwna — ukazywanie braku guzików i srubek uchodzi za grubiaństwo.

Niby dlaczego? Wszak krzywdą nie jest wytykanie złych dzieł, lecz ich wroczenie. W teatrze brak liłości wykazuje ży dyrektor, ży reżyser, ży autor i ży aktorzy, a nie niewinni widzowie. Zły aktor wymyślił powiedzenie o publiczności, która nie miała talentu.

Jednym z największych nie-szczęść ludzkich są przymiotniki. Życie jest, przepzymiotnikowane, sztuka jest zapzymiotnikowana, język nasz jest chory na przymiotniki. Polski teatr emigracyjny cierpi na co najmniej jeden przymiotnik: emigracyjny. Język polski na szczęście posiada zdolność samoobrony przed nadmiarem przymiotników. Gdyby jej nie miał, teatr nasz nazywałby się zapewne: Pierwszy Polski Emigracyjny Dramatyczny Teatr Niepodległościowy im. Juliusza Słowackiego. Tymczasem przymiotniki te — jak to zwykle przymiotniki — nie rozszarżą, lecz przeciwnie wężają pojęcie i rolę teatru. Teatr, to wszystko. Teatr polski — owszem. Teatr emigracyjny czy niepodległościowy, to już zaprzeczenie teatru.

Na pytanie: Jaki powinien być teatr? — może być tylko jedna odpowiedź: teatralny. Sztuka jest zjawiskiem autonomicznym i nie znosi pęt przymiotników. Szukanie przymiotnika dla teatru jest sprowadzeniem teatru do roli pozateatralnej. Cóż za sens jest, zatem u-urządzać dyskusję na temat: „Jakiego teatru chcemy?” Całkiem co innego: czego chcemy od teatru, czego chcemy w teatrze? itd. Spozstrzegli może swój błąd po niewczasie prelegencji, gdyż na zapowiedzianych sześciu — czterech wstydliwie na wieczór nie przybyło. To dowodzi najlepiej, jak bardzo los teatru polskiego leży im na sercu.

Dyskusję zagał dr Tymon Terlecki stwierdzeniem, że teatr to

publiczność, co było znakomitym uzasadnieniem nieobecności prelegentów. Kto wie, czy w przyszłości teatr emigracyjny nie powinien pójść po linii sprzedawania biletów i zwracania się do publiczności, aby sobie sama grała, jeśli taka ciekawa teatru. Następnie przemawiał dyrektor Leopold Kielanowski, podkreślając polskość, emigracyjność, niepodległościowość, dramatyczność i pierwszość teatru. Zdumą przytem mówił o 13 wystawionych polskich sztukach (wyrażnie mówił o „szukach”).

Z kolei zabrał głos redaktor Marek Świąćicki. Mówca był zdania, że największe omyłki teatru, to Molier i Zawieyski, a jedyną drogą do serc są sztuki, gdzie by nie było mowy o zdradzie małżeńskiej (tak to skończyła się sława Szekspira, Słowackiego i kilku innych) itp., słowem rozłączał wizję teatru w charakterze drzemki poobiedniej po naleśnikach na słońnie. Prezes kombatanów, p. Tadeusz Drwęski, słusznie zauważył, że teatr i tramwaj najbardziej zawsze pasjonowały radnych miejskich.

Zawziętą dyskusję publiczności można zamknąć w dwu kwestiach: Co porabiam obecnie i o ile jestem porządniejszy od tych, którzy nie chodzą do teatru? Aktorzy zaś mówili na temat: Komu zawdzięcza sprawę polską, że ciągle istnieje na obczyźnie? Mówcy w każdym razie zapewniali niedwuznacznie, że od przyjęcia ich przestroż zależy dalsza egzystencja teatru.

Publiczność, światli mówcy i znakomici rozmówcy dowiedli niezbicie, iżesny już dojrżeli do teatru amatorskiego. Ambicje wyżej nie sięgają. Pozostaje tylko problem repertuaru. Szczęśliwe czasy, kiedy ludziom wystarczały sztuki: „Żyd w beczce”, „Ciotka Karola” i „Biażek opętany”. Sztuki te bowiem były doskonałe scenicznie i zabawne treściowo, a bezinteresowne w swej dramatyczności. Widzowie wówczas rozumiełi doskonale, „jakiego teatru chcieli”. Pojmowali teatr jako sztukę.

Dziś już ówczesna tematyka sceniczna publiczności nie zadawała. Do teatru emigracyjno-niepodległościowego nadawałyby się chyba sztuki: „Żyd w beczce w ghetcie Warszawy”, „Ciotka kpt. Karola z 2 Korpusu”, „Biażek opętany w Buchenwaldzie” itp. Mniejsza o formę, mniejsza o dramatyczność, mniejsza o zasób artyzmu.

Teatrovi polskiemu na emigracji umknęła sprzed nosa sztuka. Pozostały dyby patriotycznych zawołań. Maluczko, a inscenizacja mów politycznych zawiadnie sceną polską na obczyźnie.

Krakus

Z SAL ODCZYTYWYCH

O BUDOWIE NOWOCZESNEGO POEMATU

W klubie YMCA przy Cadogan Gardens d. 28 lutego Jerzy Plekiewicz wygłosił interesujący odczyt n.t. „Budowy nowoczesnego poematu”. Podobnie jak główną cechą nowoczesnej poezji — wywozili prelegent — jest metafora, tak główną cechą poematu jest dzis konstrukcja metaforyczna, wykazująca duzo podobieństw z konstrukcją utworu muzycznego. Konstrukcja ta wymaga wielkiego wysiłku i dyscypliny umysłowej i nie ma nic wspólnego z surrealizmem, którego słotą jest notowanie napływających wyobrażeń czy obrazów bez udziału intelektu jako siły porządkującej i kontrolującej.

Po przerwie prelegent zilustrował swe wywody odczytaniem własnego utworu pt. „Pięty poemat”, wydanego w Paryżu w r.ub. Wywazała się dyskusja, w której zabierałi głos pp. Ostrowski, Karpiej i inni.

MOŻLIWOŚCI NARODU UKRAIŃSKIEGO

Dr. Stanisław Skrzypek, wybitny znawca zagadnienia ukraińskiego, mówił dnia 8 marca w instytucie „Reduta” (32, Bolton Gardens) o „Problemie ludnościowym Ukrainy”. Prelegent omówił głosy ukraińskie w odpowiedzi na jego publikacje w tej sprawie, w szczególności na artykuły w „Przeglądzie Polskim” i na książkę „Ukraiński program państwowy w świetle rzeczywistości”. Dr. Skrzypek podtrzymywał i uzupełniał swe tezy, konkludując, że stan ludnościowy narodu ukraińskiego nie pozwala na zbudowanie państwa w tych granicach (obejmujących blisko 950.000 km. kw. powierzchni), jakie zakreślają mu politycy ukraińscy.

W dyskusji, zabrał m. in. głos obecny na odcytcie redaktor miejscowego organu ukraińskiego „Ukraińskiej Dumki”, p. Dobrian-ski, który przemawiając w języku ukraińskim, polemizował z wywodami i konkluzjami prelegenta. Dr. Skrzypek obszernie odpowiadał wszystkim zabierającym głos w dyskusji. Przewodniczył gen. Wiatr.

WYSTAWY

W galerii Wildensteina (147, New Bond Street, W. 1) odbywa się wystawa wnętrz francuskich XVIII stulecia (meble, obrazy, rzeźby, przedmioty sztuki). Otwarta codziennie od 10 — 5.30, w soboty od 10 — 1.

W Arts Council Gallery (4, St. James's Square, S.W.1) odbywa się wystawa fotografii rzeźb Giovanni Pisano. Otwarta do 31 marca, w godz. 10 — 6, we wtorki i czwartki od 10 — 8.

W „Olympii” staraniem wydawnictwa „Daily Mail” urządzona została wystawa „idealnego ogniska domowego” („Ideal Home Exhibition”). Otwarta codziennie od 9.30 do 9.30, z wyjątkiem niedziel. Wstęp 2/9, dla dzieci 1/9.

LISTY DO REDAKCJI

Zdarza się, że jakiś kraj na pewien czas przyciemni nieszczęśliwych tułaczy z dalekiego Lechistanu. Zdarza się też, na szczęście rzadziej, że ci goście później piszą o swoich gospodarzach. Taka jest historia artykułu „Banany i oisioł”. Parafrazując spostrzeżenie autora (mojego przyjaciela) pozwolę sobie przedstawić drugą stronę medalu i zaryzykować uwagę, że Irlandczykom Polacy też się mogli wydać obcy. Też się mogli wydać godnymi podziwu... trutniami. Jakby nie-ludźmi.

Wielka to szkoda, że się z podróży po obcych krajach przywozi tylko pchły i brud — uogólnienia krzywdzą. Nie wolno pisać za wszelką cenę.

Wierzę, że Irlandczycy nietakt autorowi wybaczą. Ale w przyszłości zamiast bananów powinni mu dać figę!

Florian Śmieja

b. stud. uniw. w Cork (Irlandia)

WYDAWNICTWA

STOWARZYSZENIA PISARZY POLSKICH

A. Mickiewicz:	POEZJE WYBRANE, przedmowa Jana Lechonia, wybór Wiktora Weintrauba	3/6
A. Mickiewicz:	SŁOWA DO EMIGRACJI i SŁOWA DO EUROPY, wybór publicystyki w opracowaniu Tymona Terleckiego	3/6
B. Prus:	NOWELE WARSZAWSKIE, przedmowa Wacława Grubińskiego, i postówie Marii Daniłowiczowej	7/6
B. Leśmian:	ŁĄKA I TRAKTAT O POEZJI	1/6
K. Wierzyński:	KRZYŻE I MIECZE	3/6
M. H e m a r:	LATA LONDYŃSKIE	1/-
T. Terlecki:	POLSKA A ZACHÓD. Próba syntezy (3 wydanie)	1/-
S. Baliński:	WIERSZE ZEBRANE (1927 — 1947)	7/6
W. Grubiński:	O LITERATURZE I LITERATACH (Zbiór szkiców)	4/6
A. Bogusławski:	STRUNY NA DRZEWACH (poezje)	1/-
LITERATURA A POLITYKA.	Wolne opinie (Grubiński, Kisielowski, Rojek, Sukiennicki, Terlecki, Ulatowski, Zahorska)	-/6
W. Grubiński:	MIEDZY MŁOTEM A SIERPEM (Wspomnienia z Rosji)	9/6

SKŁAD GŁÓWNY:

VERITAS FOUNDATION PUBLICATION CENTRE

12, Praed Mews, London, W.2. Tel. AMB 6879.

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno Kulturalny. Wydaje: Veritas Foundation Publication Centre. Adres redakcji i administracji: Polish Weekly, ŻYCIE, 12 Praed Mews, London W.2. Telefony: Redakcja i Administracja: AMB 6879. Drukarnia: PAD 9734 Godziny przyjęć w Redakcji: Codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt tylko od godz. 3.30 — 4.30 po poł. Administracja czynna codziennie od godz. 9 — 13 i od 14 — 17 — z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja żadnych rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach na ew. zastrzeżony zwrot prosimy dotaczyć znaczki pocztowe. Prenumerata płatna jest z góry i wynosi: miesięcznie 4/6, kwartalnie 13/-, półrocznie 26 sh. Wszelkie wpłaty przekazywać należy Postal lub Money orderami, względnie czekami bankowymi „crossed”, wystawionymi na Veritas Foundation Publication Centre, CENY OGŁOSZEŃ: 1 cal przez 1 kam £. 1: w tekście 50% drożej, na stronie tytułowej 100% drożej. Prenumerata zagraniczna: ARGENTYNA: cena 1 egz. — 2 pesos, kwartalnie 26 pesos, półrocznie 52 pesos. Przedstawiciel: J. Miecznikowski & T. Dąbrowski. Składnica Książki Polskiej, Av. Leandro N. Alem 644 — Buenos Aires. BELGIA: miesięcznie 30 frs., kwartalnie 80 frs. Przedstawiciel: Zbigniew Wróbel, 43, rue d'Irlande, Bruxelles, St. Gilles. — FRANCJA: miesięcznie 180 frs., kwartalnie 540 frs. Przedstawicielstwo: „LIBELLA” Librairie, 12, rue St. Louis en l'île, Paris IV-ème. NIEMCY: miesięcznie 2.50 DM., kwartalnie 7.00 DM. Przedstawicielstwo mają: INFORMACJA PRASOWA, (23) Quakenbrück, Schiphorst 2. i Księgarnia „WIEDZA”, Schwandorf/ Bayern, Bahnhofstrasse 19. SZWAJCARIA: kwartalnie 3.50 frs. Przedstawicielstwo: PKSU VERITAS, Section Suisse, Case Postale 19, Fribourg 2. SZWECJA: mieś. 3.50 kr., kwartalnie 10.00 kr. Przedstawiciel: B. Kurowski, Anggatan 6 c, Lund, Sverige. Sweden, U.S.A.: kwartalnie pocztą zwykłą 2 dol.; pocztą lotniczą — 5 dol. Przedstawiciel: A. Stojanowski, 22, E. 33rd St., BAYONNE, N.J., U.S.A.